№ 20. Warszawa, dnia 15 (3) Maja 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

POLITYKA.

ŚRÓD SERDECZNYCH PRZYJACIÓŁ.

Konkordat tedy między Watykanem a rządem pruskim zawarty. Bo nie jest to samodzielny akt prawodawczy państwa, ale układ dwu władców, określający stosunki kościelne. Udział parlamentu przy tym akcie był tylko czczą formalnością: naprzód parlamenty niemiecko-pruskie bardzo rzadko śmią opierać się woli Bismarka, a powtóre od lat kilku żądały one zniesienia „ustaw majowych" (przeciwko katolikom), ale ich głosy daremnie obijały się o kamienne podnoże wszechwładnego bożyszcza. Nie wtenczas, gdy wy chcecie, ale wtedy, gdy ja zechcę, nastąpi zgoda z papieżem — odpowiadał im kanclerz, który nareszcie jej zapragnął. I nie cofnął naturalnie surowych praw tą samą drogą, którą je wprowadził — drogą uchwały sejmowej przez rząd zatwierdzonej, lecz za pomocą bezpośredniego kontraktu między panami, na którym słudzy tylko podpisać się mieli, jako niezbędni świadkowie. Postępowanie to przedewszystkiem dowodzi ponownie, że parlamentaryzm niemiecki opadł w swej mocy i powadze, że przestał być głównym regulatorem życia politycznego, kierowanego właściwie jedną wolą — ministra. Ale nie o to nam obecnie chodzi, zwłaszcza, że ten wsteczny ruch Niemiec jest dla wszystkich widoczny. Idzie nam o stosunek nowej ustawy do ludności polskiej. Rząd pruski, powracając katolikom odebrane prawa, niektórych (swobody zakładania seminaryów) odmówił polakom. Zgodził się na to papież — zgodzili się sojusznicy upośledzonych — stronnictwo centrum. „Ojciec św.", ważąc na szalach interesu potęgę Bismarka i słabość garstki jego ofiar, nie waha się złożyć mu w ofierze „wiernych owieczek," które, jak wszystkie owce dla swoich pasterzów, mają dla niego tylko wartość mięsa i wełny. Ze *swego* stanowiska Leon XIII, niebędący już dziś namiestnikiem Chrystusa, ale dyplomatą, postąpił roztropnie, bo polacy pruscy całą swą liczbą w rachunkach politycznych nie zdołają przeciwważyć jednego kanclerza niemieckiego. Żaden mąż stanu inaczej by nie zrobił — zrobiłby inaczej wyniesiony myślą i uczuciem po nad spekulacye ziemskie apostoł religijny, którym papież nie jest. A centrum? W ciele tem odbija się wiernie duch jego głowy. Jest to również partya czysto polityczna, której w znacznej części pozory religijne służą za maskę. Gdyby ona powodowała się samą sprawiedliwością, musiałaby poprzeć żądania posłów poznańskich i głosować przeciw wyłączeniu z pod ogólnego prawa ich rodaków; ponieważ zaś ulegała względom taktyki, odstąpiła ich. Dr. Windhorst podziękował opuszczonym za „długi i wytrwały sojusz w walce" i z tem pochwalnem świadectwem połączył nadzieję, że Leon XIII, „obejmujący wszystkich katolików *równą* miłością," wyjedna dla polaków równouprawnienie. Pozwólmy ową nadzieję snuć tym, których ona karmić może, i zastanówmy się nad wymownym rezultatem dotychczasowej polityki Koła polskiego w Berlinie.

Opierało się ono jednym bokiem o papieża a drugim o katolików niemieckich. Nagle obaj sojusznicy odbiegli, wcisnąwszy chwiejącemu się dwa kwitki miłości i sympatyi. Jaki stąd wniosek? Chyba ten tylko, że owe podpory były bardzo zawodne i nietrwałe, że obrona zagrożonego bytu narodowego przez sztuczne związki i religię nie może być jedyną regułą polityczną w Poznańskiem. Jeśli bowiem obliczymy jej rezultaty, wypadną nam same straty bez żadnej korzyści. Co zyskali polacy pruscy przez czas swej wiernej służby u ultramontanizmu? Nic. A co postradali? Wszystkie prawa najuroczyściej zaprzysiężone — w dodatku: samodzielność ekonomiczną, znaczne obszary ziemi, ruch umysłowy i artystyczny. Jest to dziś kraina podmyta i poderwana germanizacyą, cywilizacyjnie martwa, ekonomicznie biedna, duchowo bezpłodna. Nawet ta najbardziej wyjałowiona skała — Galicya zieleni się, obrasta posiewem, odradza się; ze wszystkich dzielnic polskich jedno tylko Poznańskie głuche i puste. Stamtąd doleci do nas czasem echo jakiejś waśni politycznej, jakiegoś hałaśliwego wiecu, jakiejś broszury lub projektu — ale te odgłosy wyczerpują całe życie. Lata upływają i nie przynoszą nam z Poznańskiego żadnego poważnego dzieła, żadnego znakomitego utworu literatury lub sztuki. Gdyby nie Jarochowski, ogół mógłby mniemać, że tam ludzie nie myślą o nauce, nie tworzą, nie piszą. Wszystkie siły, pochłonięte walką polityczno-religijną, nie wytężają się na innych polach, w innych kierunkach; rozwój wewnętrzny zatamowany.

Gdybyśmy żyli w wieku XVI a nawet XVIII, gdyby wogóle warunki na to pozwalały, niewątpliwie ponowiłaby się dziś idea rozdziału z Rzymem i utworzenia kościoła narodowego. Papiestwo bowiem głęboko nadcięło obecnie ten węzeł, który je łączył z katolicyzmem polskim, i jeśli Leon XIII nie obawiał się odszczepieństwa, to tylko dlatego, że ufał tłumiącej taki ruch sile warunków. Znając ich naturę a przytem nie trudniąc się żadną propagandą religijną, nie będziemy uzasadniać owej idei, nadmieniamy, że jeśli śród „serdecznych przyjaciół" psy zająca jeszcze nie zjadły, zając powinien więcej myśleć o sobie a mniej polegać na przyjaciołach. Poznańskie musi punkt ciężkości swego ży-

cia przenieść z Watykanu i centrum do wewnętrznego rozwoju. Dyplomatyzowanie jest zawsze ryzykiem, a samo wystarcza tylko silnym; słabych naraża ono jedynie na zawody. Ani Łazarz, ani Ugolino, ani żaden nędzarz nie uratuje się dyplomacyą.

ROZRUCHY ROBOTNICZE w Stanach Zjednoczonych.

W poprzednim numerze *Prawdy* wspomnieliśmy o wielkich bezrobociach w Stanach Zjednoczonych. Około 350,000 robotników przyjęło udział w zmowie, mnóstwo fabryk zawiesiło czynności a ruch na wielu liniach kolejowych został wstrzymany. Zmową kierują potężne związki, zwłaszcza zaś liczące setkami tysięcy swoich członków stowarzyszenie „rycerzy pracy.“ Wypróbowane w Irlandyi „bojkottowanie“ zastosowano tu do właścicieli fabryk i warsztatów. W New-Yorku przed sklepami i składami „zabojkottowanych“ fabryk stoją dzień i noc t. z. *walking sandwiches*, inaczej „buterbrody,“ tj. ludzie, którzy zwykle najmują się do roznoszenia reklam, teraz zaś z rozkazu związków robotniczych oznajmiają przechodniom, żeby niczego nie kupowali w „zakazanym“ sklepie. Kapitaliści amerykańscy ofiarują szczodre datki dla „bojkottowanych“ jeżeli jednak kupujący składają się głównie z osób należących do klasy robotniczej, bankructwo przedsiębiorstwa jest tylko kwestyą czasu. Związki robotnicze wywierają silny nacisk na przedsiębiorców i zmuszają nawet nieraz tych ostatnich do wydalenia robotników, którzy nie chcą należyć do stowarzyszenia i do przyjęcia związkowych.

Tego rodzaju agitacya uważa się w Ameryce za zupełnie prawną, ale w ostatnich dniach ruch robotniczy przyjął tam postawę zaczepną. W Pittsburgu, Millwaukee, Saint-Louis wybuchły poważne zaburzenia, które skończyły się krwawem starciem z milicyą obywatelską. Największych wszakże rozmiarów dosięgły rozruchy robotnicze w Chicago. Fabryczne to miasto liczy około 700,000 mieszkańców, w tej sumie 150,000 niemców. Większość niemców wyznaje zasady socyalistyczne, które podziela także spora liczba robotników polaków i czechów. Redaktor gazety socyalistycznej, niemiec Spies, stanął na czele buntu, który zaczął się od zwołania wielkiego meetingu, przeszedł później w zaciętą bójkę z policyą, skończył się zaś zwycięskiem splądrowaniem wielu sklepów w najpiękniejszej dzielnicy miasta. Właściwie, wyrażenie, że rozruchy skończyły się, jest nieodpowiedniem, bo dotychczas robotnicy mogą uważać się za zwycięzców i zapewne nie omieszkają powtórzyć zaburzeń. Nie ma jeszcze szczegółowych wiadomości o ruchu robotniczym w Ameryce, ale dziś już można określić rozmiary jego i charakter. Przyjmuje w nim udział znaczna liczba robotników, których działaniami kierują bądź to agitatorzy socyalistyczni, wychodźcy z Europy, bądź też miejscowe związki, które również w mniejszym lub większym stopniu wyznają zasady socyalizmu; znaczny procent walczących stanowią cudzoziemcy. Agitacya łatwo przechodzi w otwartą walkę. Żądania robotników są bardzo rozmaite, istnieje wszakże wspólne hasło — skrócenia dnia roboczego do 8 godzin na dobę.

Żądanie to nie jest nowem; już w 1866 r. Kongres robotniczy w Baltimore postawił je na porządku dziennym, wyrażając się w uchwale że: „pierwszem i najważniejszem zadaniem chwili obecnej, w celu uwolnienia pracy narodowej z niewoli kapitału, jest wydanie prawa o 8 godzinnej pracy na całem terytoryum Stanów Zjednoczonych.“ *Prawo związkowe* z d. 24 czerwca 1868 r. skraca czas roboczy we wszystkich zakładach i przedsiębiorstwach rządowych do 8 godzin dziennie. Rozporządzenie to nie miało jednak wpływu na przedsiębiorców prywatnych, i w następnych latach w wielu Stanach określono na drodze prawodawczej długość normalnego dnia roboczego; wynosi ona teraz najczęściej 10 godzin dziennie, w New Yorku i Pensylwanii nawet 8 tylko, ale często zdarzają się nadużycia ze strony fabrykantów.

Najprzód wydaje się dziwnem, że robotnicy amerykańscy wystąpili ze swem żądaniem nie w chwili zwiększonego zapotrzebowania pracy, ale wtedy mianowicie, kiedy przesilenie przemysłowe wyrzuciło na rynek mnóstwo rąk. Otóż właśnie w imię interesów tych, pozbawionych zajęć, towarzyszy, związki robotnicze domagają się skrócenia dnia roboczego, gdyż w ten sposób zwiększyć się musi zapotrzebowanie pracy.

Raport niedawno utworzonego „narodowego biura robotniczego“ ogłoszony przed paru tygodniami, zawiera wiele ciekawych danych, wyjaśniających obecny stan rzeczy w Ameryce. Przesilenie przemysłowe, wywołane nadprodukcyą trwa w Stanach Zjednoczonych już od 1882 r. W ciągu tylko 1885 r. zamknięto 7½% wszystkich fabryk i warsztatów. Biuro robotnicze wylicza, że cyfra pozbawionych pracy robotników dochodzi do miliona (998 839 ludzi). „Zarobek tych ludzi, wynoszący około 600 dolarów rocznie na głowę, daje w rezultacie 600 milionów dolarów straty siły spożywczej (consumptive pover) kraju.“ Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest zastosowanie na wielką skalę maszyn, które dzisiaj już wykonywają pracę za 227¼ milionów ludzi. Z ogólnej liczby 4 milionów robotników czwarta część nie ma zajęć, skrócenie więc dnia roboczego do 8 godzin tj. na ⅓, dałoby pracę i chleb tym, mimowoli próżnującym, masom.

Rząd amerykański rozumie dobrze ważność kwestyi robotniczej i nie łudzi się, że ona da się rozwiązać za pomocą zwyczajnych pół-środków. Świadczy o tem odezwa prezydenta Clevelanda, wyraźniej zaś jeszcze przemawia raport naczelnika biura robotniczego. Przytoczymy z referatu tego odnośny ustęp, dający jasne pojęcie o sprawie, która pomimo swego rewolucyjnego charakteru, nie dąży jeszcze bynajmniej do zasadniczej zmiany istniejącego ustroju społecznego.

„Nie ma antagonizmu pomiędzy pracą i kapitałem, ale istnieje walka pomiędzy robotnikiem i kapitalistą o rozmiary dochodu z kapitału i płacy roboczej, czyli, inaczej mówiąc, o zyski, jakie dawać winny kapitały, włożone w przedsiębiorstwo przez obie strony w formie pieniędzy lub pracy. Niedorzecznem jest twierdzenie, że interesy kapitału i pracy są też same. Są one tak mało zgodne, jak interesy sprzedawcy i nabywcy.“

Rzeczywiście robotnikom amerykańskim chodzi przedewszystkiem o podwyższenie zarobku lub zmniejszenie obowiązkowych godzin pracy (co ostatecznie na jedno wychodzi), słowem o zwiększenie swego udziału w ogólnej sumie dochodu narodowego. Chociaż więc ruchem całym kierują przeważnie agitatorzy socyalistyczni, chociaż przyjął on charakter zbrojnych zaburzeń, nie możemy nazwać go ani socyalisty-

MYŚLI SAMOTNICY.

(Ludwiki Ackermann).

Jakiż to ideał, do którego dąży natura po przez niezliczone wieki i nieskończone formy? Chyba my nie jesteśmy kresem jej rozwoju. Chyba nie po to z tak daleka lot swój rozpoczęła, by zatrzymać się na naszej nędznej ludzkości. O ty, co w łonie jej drzemiesz, tworze przyszłości, myśl o nas, którzyśmy tyle cierpieli, by tobie drogę utorować.

—

Uszlachetnienie obyczajów ujawnia się w dzisiejszym proteście przeciw karze śmierci. Czuć wzmagający się wciąż wstręt ku temu aktowi społecznego okrucieństwa. A kara piekieł; cóż o niej powiedzą panowie dewoci? Zdaje mi się, że *ich* Bóg, pomimo całej swej boskiej dobroci, powinienby brać u nas lekcye miłosierdzia.

—

Wszyscy prawie umieramy śmiercią gwałtowną. Jak bowiem inaczej nazwać to pełne boleści zerwanie ogniw życia? Śmierć powinnaby być jedynie dogasaniem. A tymczasem dlaczego kres istnienia poprzedzają tak często długie i straszliwe męki, po co ta ostatnia walka? Widząc, jaki opór stawiają śmierci ciało i duch, możnaby myśleć, że ona jest przeciwną naturze...

—

Wiek młodzieńczy poświęconym jest badaniu dzieł klasycznych. Jest on może w stanie wytłomaczyć je, ale nigdy nie zdoła zrozumieć. Porządek, jasność, doskonała harmonia nie mogą być odczute wtedy, kiedy umysł jest jeszcze mglistym i bezładnym.

—

Okoliczności, które towarzyszą poczęciu, wywierają prawie zawsze wpływ stanowczy na indywiduum mające się narodzić. Gdyby nie było w tym akcie namiętnego pociągu upojenia, nieledwie szału, jakim byłby jego owoc? Istotą nędzną i mierną. Spójrzcie na nasze małżeństwa, zawierane dla konwenansu i pieniędzy, cóż one wydają? Pokolenie z bezkrwistym ciałem i umysłem. Miłości! napróżno złorzeczą ci i przeklinają— w tobie tylko szukać należy źródła siły i ognia.

—

Kobieta-artystka lub autorka wydawała mi się zawsze daleko większem dziwadłem, niźli kobieta-bankier, lub agent giełdowy. W tym ostatnim wypadku obraca ona tylko swymi kapitałami, w pierwszym zaś naraża na ryzyko i niebezpieczeństwo własną swoją duszę.

—

Miłość moja dla wszystkiego, co dobre, sprawiedliwe i ludzkie, czyni mię tak wrogą potwornościom samolubstwa i fanatyzmu, których żaden nabożniś, jeśli tylko jest w zgodzie z samym sobą, uniknąć nie może.

—

Większa część ludzi, rzucających się w objęcia wiary, czyni to nie tyle przez miłość prawdy, ile z potrzeby uspokojenia pewnych obaw. Zamykają oczy i poddają się. Przy pomocy wyobraźni udaje się im w końcu uwierzyć, że wierzą. Zresztą tak mało troszczą się o prawdę, że uciekają od wszystkiego, co mogłoby ich z tego stanu złudzenia wyprowadzić. Na zarzuty rozsądku mają odpowiedzi niedorzeczne i dziecinne, ale odpowiedziami temi uspokajają się. A przecież o to tylko im chodzi.

—

Zapowiedź wielkich wypadków wywołuje ich przybycie. Prorocy przepowiadali Mesyasza i przyszedł na świat Chrystus. Nie dlatego był on zapowiedzianym, że miał przybyć, lecz przybył, bo był przepowiedzianym. Wielkie pragnienia ludzkości, będąc wyrazem wielkich jej potrzeb, zawsze kończą się urzeczywistnieniem.

—

cznym, ani anarchicznym, ale wyłącznie i po prostu — robotniczym. Zresztą i socyalizm na gruncie amerykańskim przeradza się i przybiera odmienne od pierwowzoru swojego formy. Gwałtowny charakter rozruchów tłomaczy się w znacznej części tem, że uczestnikami ich są robotnicy, którzy niedawno emigrowali z Europy. Solidarność i umiejętna organizacya wyróżniają działania robotników amerykańskich od rozpaczliwych szamotań błądzących na oślep ich towarzyszy europejskich jak np. w Belgii, chociaż w obu wypadkach ruch robotniczy łątwo przechodzi w zaburzenia zbrojne. Prawdopodobnie więc i rezultaty będą w Stanach Zjednoczonych zupełnie inne. Widzimy tam bowiem siłę, świadomą swych celów i liczącą się z warunkami, która nawet wybuchy namiętności i bezprawia uważa tylko jako środki działania i w każdej chwili pohamować je zdolna.

J. L. P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Powszechną uwagę pochłania obecnie sprawa grecka, dla której zapomniano nawet o Bułgaryi. Działanie zbiorowe mocarstw przyszło wreszcie do skutku, bo Rosya pomimo że w zasadzie podzielała wystąpienie Francyi, nie chcąc jednak zaostrzać stosunków, zgodziła się na wykonanie wspólnej demonstracyi. 9 maja posłowie opuścili Ateny, a 11 rozpoczęła się, tak zwana blokada pokojowa portów greckich. Wobec tej groźby rząd ateński postanowił ustąpić, ale Delyanis nie chciał dobrowolnie kierować rozbrojeniem i podał się do dymisyi, przywódca opozycyi Trikupis nie chciał znowu podjąć się utworzenia gabinetu, którego głównem zadaniem byłoby uspokojenie kraju i likwidacya strat materyalnych oraz zawiedzionych nadziei. Ludność w Atenach domaga się wojny i wyprawia hałaśliwe demonstracye, na które wszakże rząd niewiele zwraca uwagi. W ostatnich dniach król postanowił utworzyć gabinet tymczasowy, któryby zarządziłby rozbrojenie i uspokoił Europę, znalazł się nawet amator, gotowy przyjąć na siebie tę niewdzięczną rolę, ale po namyśle przyszły prezes ministrów cofnął się. Obecnie szukają drugiego kandydata, nie tracąc nadziei, że może pierwszy p. Papamichalopulo jeszcze da się przekonać. Sprawę grecką można więc niby uważać za rozwiązaną, jeżeli nie zajdzie jaki nowy wypadek, który pokrzyżuje plany dyplomacyi. Zresztą każdy rozumie, że takie załatwienie sporu grecko-tureckiego jest właściwie tylko odroczeniem jego do lepszych czasów.

W Serbii ukończono już wybory do skupczyny, i rząd, i opozycya przypisują sobie zwycięstwo, ta ostatnia słuszniej, bo gdyby się nawet okazało, że nie posiada większości, to przecie wykazać może znaczne powiększenie liczby głosów.

Parlament angielski rozpoczął na nowo sprawę nad bilem o samorządzie irlandzkim. Wytrawny w taktyce parlamentarnej Gladstone skrzętnie oblicza różne kombinacye głosów i widocznie ma nadzieję powodzenia, kiedy nawet cofnął zapowiedziane zmiany, żądając, żeby Izba uchwaliła cały projekt w zasadzie, później zaś dopiero przystąpiła do krytyki pojedynczych artykułów. Zresztą w parlamencie angielskim zmiany w projektach wnoszone bywają zwykle dopiero przy trzeciem czytaniu. Gladstone przyrzekł tylko, że rozważy projekt wspólnych delegacyj obu parlamentów.

Ustawa kościelna w sejmie pruskim przyjętą została ostatecznie i wkrótce otrzyma sankcyę królewską. Posłowie polszscy okazali takt i wstrzymali się od głosowania, ponieważ w projekcie prawa są paragrafy wyraźnie skierowane przeciw narodowości polskiej, do czego kościół katolicki ma odtąd pomagać państwu.

Afryka staje się widownią ciągłego współzawodnictwa państw zachodnio-europejskich. Obecnie pożądliwe oczy Francyi, Hiszpanii i Anglii zwracają się na Maroko, nareszcie okazuje się nawet, że i Niemcy mają tam swoje „interesy.“ Cesarstwo marokańskie znajduje się w stanie rozkładu i z pojedynczych prowincyj jego tworzą się nowe państewka. Okoliczność ta dla Francyi i Hiszpanii jest bardzo pożądaną, ułatwiłaby im bowiem podział zdobyczy, to też prasa obu tych krajów zawistnem okiem patrzy na innych współzawodników. Dzienniki madryckie i paryskie namawiają swe rządy do wspólnego porozumienia. Hiszpania wysłała już kilka statków do portów marokańskich, ale wiedząc dobrze, że sama całego łupu nie zagarnie, woli podzielić się nim z sąsiadem, aniżeli przypuszczać do spółki obcych a łakomych współzawodników.

Ruch robotniczy w Stanach Zjednoczonych wzmaga się, dotychczas przyjęło w nim udział około 350,000 ludzi, z których trzecia część otrzymała dość znaczne ustępstwa i powróciła do zajęć. O charakterze tego ruchu mówimy na innem miejscu, tu dodamy tylko, że zaburzenia w Chicago przeszły w krwawą walkę, robotnicy rzucali na policyę bomby dynamitowe, które zabiły mnóstwo ludzi. Ostatnie telegramy donoszą, że w Millwaukee wybuchły znowu rozruchy, które skończyły się zwycięstwem policyi i wojska, okupionem dość znacznemi stratami.

We Lwowie policya austryacka wykryła „straszne stowarzyszenie.“ Aresztowano kilku malców, z których najstarszy ma zaledwie lat 19. Okazało się, że ci przestępcy składali miesięcznie po 35 centów i za zebrane pieniądze kupowali książeczki ludowe, które rozdawali bezpłatnie. Bodaj to swoboda konstytucyjna w Galicyi!

SPRAWY EKONOMICZNE.

KOLONIZACYA KRESÓW.

Niemcy, przekonawszy się, że kolonizacya w klimacie gorącym nie prowadzi do celu, zwrócili uwagę swą na prowincye polskie. Parcelacya dóbr państwowych i większej własności, albo — jak chcą inni — urządzenie t. z. „Häusler oder Büdner — Stellen“ ma zastąpić chłopu środkowych i południowych Niemiec Amerykę i tym sposobem powstrzymać wywóz kapitału i siły roboczej z kraju, a zarazem „skręcić łeb hydrze polskiej...“

Próby takiej „kolonizacyi wewnętrznej“ przedsięwziął rząd pruski już dawniej w Poznańskiem, w obwodzie krotoszyńskim *). Jeszcze na początku XIX wieku, agent z ramienia rządu pruskiego, osiedlony we Frankfurcie nad Menem, werbował wirtemberczyków „do Polski.“ płacąc od głowy 25 fenigów milowego. Stokilkadziesiąt szwabów z żonami i pierzynami, któ-

*) Witt: „Die innere Kolonisation w „*Vierteljahrschrift für Volkswirtschaft, Politik und Culturgeschichte*,“ 1886, zeszyt za drugi kwartał.

Ażeby pisać prozą, trzeba koniecznie mieć coś do powiedzenia, dla pisania wierszem nie jest to koniecznem.

—

Pomiędzy małżonkami prócz wspólności stołu i łoża istnieje inna jeszcze wspólność myśli. A jednak te dwie istoty, materyalnym złączone uściskiem, umysłami swymi należą najczęściej do dwóch odrębnych a czasami nienawistnych sobie światów.

—

Nie chciałabym wcale być bogiem. Nie módz przestać istnieć, co za katusza!

—

Możnaby mniemać, zaiste, że jakaś zła wola kieruje wypadkami ludzkimi. Widząc z jaką sztuką obraca ona nieraz wszystko na najgorsze, możnaby ją wziąć za opatrzność na wspak. Sam traf nie posiadałby ani tej przenikliwości, ani tego uporu w wyborze nieszczęśliwych kombinacyj.

—

Niepodobna liczyć bigotom cnotliwości ich za zasługę. Nagroda, do której dążą, tak jest wielka, że dziw doprawdy, iż nie czynią więcej jeszcze dla osiągnięcia jej. Czem są w istocie owe umartwienia chwilowe w porównaniu ze szczęśliwością, której się spodziewają i do której nawet te utrapienia ścielą im drogę. Ludzie ci żyją w świecie tak mało ludzkim, iż mamy najzupełniejsze prawo żywić ku nim uczucia, nic z ludzkością wspólnego niemające.

—

Uczuwam zawsze głęboką cześć dla tych duchów odważnych, które będąc całkowicie panami siebie i jedynie przesycone nieszczęściami tego padołu, znalazły w sobie tyle siły, by zrzucić ciężar istnienia. Natura wiedziała dobrze, co czyniła, wyposażając nas w nieuleczalne tchórzostwo wobec śmierci; lecz za to jakże pięknem jest zwyciężyć ją i zawołać: „O macocho! zwracam ci twoje brzemię. Jeżeli mniemasz, żeś mię zobowiązała tym przypadkowym i złowrogim darem życia, omyliłaś się. Patrz oto! co ja zeń robię!“

—

Gdybym była gołębicą, nie wleciałabym do arki.

—

Dawałam u siebie przytułek wielu uczuciom i chociaż oddawna już nie znajdują one u mnie schronienia, będę pamiętała zawsze, że były moimi gośćmi i żeśmy się w najlepszej zgodzie z sobą rozstali.

—

Umysł nasz jest pełen zarodków myśli, z których niejedna miałaby prawdopodobieństwo życia, gdybyśmy ją wydali na świat. Jedynym szczęśliwym rozwiązaniem byłoby wyłożyć je na papier. Uwolnione od swej powłoki, stały by się widzialnemi i możliwemi do ocenienia.

—

Gdyby kobietom otworzono wrota wszelkich wolności, jak tego niektóre z nich domagają się — uczciwe i skromne nie chciałyby tam wejść.

—

Gdy roztwieram książkę niemiecką, zdaje mi się, że zgasiłam światło; lecz gdy wypada mi, rzuciwszy ją, wziąć do ręki dzieło francuskie, ten sam przedmiot rozpatrujące, wówczas zdaje mi się, żem je wzniecila na nowo.

—

Zajęcia rolne mają szczególną własność: uspakajają, znieczulają. Najskuteczniejsze są po wielkich cierpieniach i zawodach. Rzec można, iż natura wówczas już daje człowiekowi przedsmak owego spoczynku ostatecznego, którego mu kiedyś ma udzielić.

—

Starałam się, o ile mogłam, jak najmniej mówić w swoich wierszach o sobie. Tworzyć poezye egotyczne — jest to dowodzić chorobliwego usposobienia i umysłowej ciasnoty. Zresztą poeta, który myśli tylko o sobie, rychło znajdzie się u kresu swoich śpiewów i krzyków. W imieniu natury, a przedewszystkiem w imieniu ludzkości całej należy podnosić głos. Te źródła na-

rzy odważyli się puścić w tę daleką podróż do „kraju niedźwiedziów,“ przybyło wtedy do Krotoszyna, gdzie założyli dzisiejsze kolonie: Heinrichsfelde, Hangfeld, Hollefeld itd. Otrzymali tu wystawione kosztem rządu domy mieszkalne z budynkami, pola po 40 morgów, „forszusy“ z kasy państwowej na inwentarz. Lecz grunt kamienisty i klimat północny nie przypadły jakoś do gustu szwabom, większa część uciekła „z forszusami“ do ojczyzny, ścigana listami gończymi po gazetach a z pozostałych nie doczekało się państwo wielkiej pociechy. Do dziś żyją oni w nędzy, a ciężka robota w polu nie odpowiada ani skłonnościom niemców, ani słabej ich konstytucyi. Gdy im wyrzucano brak energii w pracy, odpowiadali zwykle: „Nie przyszliśmy tu do pracy, ale do chowu.“ Pobudowano im też tak liche mieszkania, że kiedy Fryderyk Wilhelm III, zatrzymał się podczas podróży w jednej kolonii, sołtys miejscowy, chcąc pokazać, jak „masywne“ mają budynki, uderzył laską w ścianę i zaraz zrobił otwór.

Lepsze owoce wydała druga kolonizacya z końca trzeciego dziesiątka lat. Tym razem zakupiono „tanio“ za 75,000 talarów 16,000 morgów pola i kilka tysięcy lasu w dobrach „Góra“ — także w Poznańskiem. Grunt operacyi był dogodniejszym, a działki znacznie większe (od 100—300 morgów), łatwo mogły właścicieli wyżywić. Prezydent Flottwell otrzymał od rządu milion talarów „do dyspozycyi,“ tj. do zakupna dóbr polskich wystawionych na licytacyę i do osiedlenia na nich kolonistów niemieckich. Z tego gadzinowego funduszu urządzono znane dobra Koźmian, sprowadziwszy kolonistów przeważnie ze Szląska. Cena kupna wyniosła 20 talarów od morga, z których ⅓ część natychmiast wypłacił kolonista, resztę rozłożono na 9 lat. Przy pomocy radcy, komisarza i geometry „załatwiło się interes“ w krótkim czasie. Rząd zarobił na nim 100,000 talarów!...

Po stłumieniu rewolucyi 1849 r zaczęto w Poznańskiem parcelacyę *dóbr kameralnych*. Lecz biedniejsi koloniści nie mogli się tu utrzymać na małych i nieurodzajnych gruntach, musieli je niebawem sprzedać zamożnym mieszczanom i rzemieślnikom, którzy zaniedbując swoje rzemiosła i źle gospodarując w polu, znowu je odprzedali w inne ręce.

Ta ostatnia próba nie udała się, ale zawsze przylepiło trochę gleby polskiej do rąk niemieckich. Pod naciskiem partyi liberalnej za ministra finansów Camphausena (po r. 1870) rozdzielono dobra kameralne na Pomorzu w sposób poznański z 1849 r. ale skutki okazały się jeszcze gorsze. Zarzucono wtedy ministeryum, że przedsięwzięło parcelacyę bez zrozumienia celu i bez zamiłowania do rzeczy.

Rząd powinien był ułatwić pobyt kolonistom, udzielić im większych „forszusów.“ Na szczęście uczciwy system finansowy „prawowiernego i ściśle konstytucyjnego“ ministra nie miał do wyrzucenia krwawo zapracowanych i jeszcze krwawiej ściągniętych groszy podatkowych całej ludności dla zaspokojenia nieuczciwych zachcianek politycznych. Jeden zówczesnych urzędników niemieckich w Poznaniu, człowiek doświadczony i praktyczny, który odbył całą tę kolonizacyjną szacherkę, tak się o tem wyraża: „Plan zakupna ziemi na akcye we wschodniej połaci naszego kraju dla osiedlenia na niej rolników, jest zdaniem mojem, z gruntu chybiony. Jako środek przeciwko wędrówkom jest to kropla wody wylana na gorącą płytę. Przeciętnie bowiem wynosi w Niemczech przyrost ludności rocznie do 500,000 głów, w Prusiech wschodnich zaś przypada 3,000 na milę kwadratową, co też odpowiada zupełnie miejscowym stosunkom klimatycznym i rolniczym. Zima nastaje tu za wcześnie i trwa nieraz siedm miesięcy, wiosna i lato zaczynają się późno i trwają tylko bardzo krótko. Grunta są równie drogie, jak na Zachodzie, a wymagają większych nakładów, okolice zaś lesiste na granicy rosyjskiej nie nadają się wcale do kolonizacyi.“ Dla zapewnienia sobie bytu musi posiadać kolonista, jak wykazuje szczegółowy bilans Witta, około 10,000 marek, a to może niemiec stokroć lepiej zużytkować w Ameryce, gdzie akr dziewiczej gleby dostanie za 5 dolarów i gdzie, rzecz ważniejsza, wolnym jest od wojska i płaci nieznaczny podatek. Ale myśl kolonizacyi, nie dawała spać żelaznemu księciu i jego czcicielom.

Ministeryum rolnicze postanowiło więc wniosek utworzenia t. z. „Rentengüter“ tj. parcelacyę większych posiadłości w rodzaju dawniejszych dzierżaw dziedzicznych. Myśl ta wyzyskana w celach niegodziwych a obliczona, jak wiadomo, na prowincye polskie, wyrodziła się z potrzeby zaopatrzenia w rolników kraju powstałego z osuszonych bagien. Kiedy własność ziemska spoczywała głównie w martwych rękach tj. w posiadaniu kościołów i municypiów, kiedy kredyt hipoteczny był jeszcze w powijakach, tego rodzaju środki połowiczne, jak owe dzierżawy, są zupełnie wytłomaczone, ale dziś nie mają one racyi bytu. Układy dziedziczne między właścicielem a dzierżawcą dają sposobność do nieskończonych sporów, wiążą bowiem obie strony do stanu rzeczy jeszcze przed nimi i mimo ich woli wytworzonego. Sprzedaż dóbr takich jest utrudniona a kredyt dzierżawcy z góry zachwiany. Robotnik albo włościanin, który z biedy przystanie na taką zawisłość od pana, straci do reszty swoje siły i pieniądze, aby się od niego uwolnić, a w gospodarstwie ograniczonemu nie będzie wcale zależało na podniesieniu wartości gleby. Wobec zaś stanu rzeczy, w prowincyach polskich, gdzie cena dóbr, nie stoi w żadnym stosunku do ich rentowania się, wątpić należy, czy znajdą się ludzie prywatni, którzyby dali w takich warunkach swój majątek na utworzenie wspomnianych dzierżaw. Wie o tych trudnościach Witt, mimo to uważa parcelacyę większych posiadłości między chłopów niemieckich za korzystną nietylko dla nich, ale i *dla państwa*. Grunta bowiem włościańskie i wogóle mniejsze posiadłości, jakkolwiek zwykle gorzej uprawiane, niż dobra pańskie, dają, zdaniem jego, państwu większy podatek i w szczęśliwych warunkach przysparzają mu większą ilość ludności pracującej. A chociaż gospodarka chłopska nie stoi na wyżynie postępu, zwłaszcza technicznego, gdyż brak jej inteligencyi i kapitału, to skromnością i oszczędnością można tu niejedno naprawić i zastąpić. W celach przeprowadzenia „wewnętrznej kolonizacyi,“ domaga się Witt przedewszystkiem zniesienia fideikomisów. Powtóre poleca do podziału dobra kameralne, na których państwo najgorsze robi interesy, bo nietylko większa ich część nie daje żadnej renty, ale do niektórych nawet corocznie ono dokłada. Sprzedaż więc dominiów leży już ze względów finansowych, w interesie opodatkowanych. Parcelacyi dóbr w prowincyach polskich nie należy, według Witta, przeprowadzać teoretycznie, podług jednej metody i szablonu, ale zastosować o ile możności do miejscowych warunków. Należy się wystrzegać zbyt małych parcel (najniżej 200 morgowych). Przy kupnie większych folwarków idzie przedewszystkiem o uzyskanie niskiej ceny, gdyż wobec wielkich kosztów drobienia, budowy dróg, budynków, inwen-

---

tchnienia są jedynie głębokie i nieprzebrane.

—

Poezya Wiktora Hugo tyle spotrzebowała obrazów, że doprawdy możnaby śmiało zapytać, czy zostało ich co dla poetów przyszłości?

—

Kto nie jest niczem, albo nie ma nic — nie istnieje. *Być* i *mieć* — to dwa słowa również nieodzowne w życiu, jak i w gramatyce. Wszędzie są one jedynymi czynnikami posiłkowymi.

—

Mój płomień poetycki, jeżeli kiedy przypadkiem wybucha, nigdy nie trwa długo. Zasyczy na parę chwil i gaśnie. Byłaby ze mnie bardzo licha westalka.

—

Co w Pascalu najbardziej mnie uderza, to jego dusza wiecznie szamocąca się i rozdwojona, a jednak nie mam odwagi zajrzeć aż na dno tej namiętności i tych szałów; uczuwam jakby obawę zawrotu głowy. Tyle fanatyzmu oszałamia mię. W każdym kierunku umysł ten łaknął nieskończoności. Dosyć dlań było kochać dzień jeden, ażeby podnieść miłość na najszczytniejsze wyżyny. Jakże miota się pod brzemieniem swojego człowieczeństwa! Mniema, że odpłaci mu złorzeczeniami i pogardą i pada zmiażdżony przez nie. I nawet w tej bezsilności, jakie krzyki objijają się o uszy nasze. Słyszeliśmy poetów Byrona, Shelleya, Musseta i innych. Ale wybuchy bólu osobistego nigdy do takiej potęgi nie dojdą. W istocie bowiem, gdy Pascal jęczy, to za nas jęczy. Przez usta jego przemawia ludzkość cała. Pragnienie szczęścia, niepokonana żądza przyczepienia do niebios łańcucha naszych nieszczęść — cóż może być bardziej ludzkiego? Na drodze tej napotyka góry potwornych niedorzeczności i przechodzi przez nie. Znikąd pewności — a jednak wierzyć trzeba: straszna sprzeczność, w której się dobrowolnie zamknął; targa się w niej i zabija. Jedyną ucieczką było unicestwić rozum. Zdusił go więc i, patrzcie, jak teraz tryumfuje! Nie masz już sprawiedliwości — nie masz miłosierdzia; od końca do końca całe stworzenie potępione! Nieszczęsny, dał się unieść przemocy własnego strachu i własnych pożądań: skoczył w przepaść.

—

Przedstawiają zazwyczaj Charona, przewożącego cienie umarłych, czyli resztki czegoś, co kiedyś żyło. A my, którzy żyjemy jeszcze, czemże jesteśmy? Także tylko cieniami. Przed zgonem, czy po zgonie zawsze widmami w barce wąskiej i uciekającej.

—

Co wieczór, gdy pracuję przy swojem oknie, jakaś gwiazda ustawicznie patrzy na mnie. Nie wątpię, że lituje się ona nademną, która tyle pracy zadaje sobie dla jednego wyrazu, dla jednego rymu. Na co to? — zdaje się mnie pytać. Niestety — ta sama myśl i mnie często nawiedza. Chociaż nie jestem gwiazdą i nie spoglądam z tak wysoka, nieraz uczuwam litość nad znikomemi owocami wysiłków ludzkich.

—

Gdy pomyślę, że zrządzeniem jakiegoś przypadku znalazłam się na globie, który unosi się w przestworzu również rzucony na ślepy traf kataklizmów niebieskich, gdy widzę się otoczoną istotami, jak ja krótkotrwałemi i niepojętemi, które krzątają się i gonią mamidła — wówczas doznaję dziwnego wrażenia snu. Nie mogę wierzyć, ażeby wszystko, co mnie otacza, było rzeczywistością. Zdaje mi się, żem we śnie kochała, cierpiała i że niedługo umrę we śnie. Ostatniem mojem słowem będzie: ja śnię!

—

Wszystko jest najgorszem w tym najgorszym ze światów. Nie nad wrotami piekieł, lecz nad progiem życia należało położyć napis: „Lasciate ogni speranza!“

nh.

tarzów itp. wydatków, może być wynik kolonizacyi wątpliwy.

„W końcu — słuchajcie, to mówi deputowany niemiecki w piśmie naukowem! — nie trzeba z góry myśleć tylko o humanitarnych celach, ale ważać rzecz po prostu jako interes...“ Odwołuje się więc Witt do serca wielkich kapitalistów, którym w tęczowych barwach maluje zyski z takich przedsiębiorstw, a kolonistom niemieckim przyrzeka domy, budynki i cały inwentarz — darmo. Obiecuje im między innemi wygodami własne szkoły, kościoły, karczmy, pola nie zbyt odległe od mieszkań, słowem kwitnące życie gminne i towarzyskie, śpiewa zaś ciągle na jedną nutę, jakby chciał przeniknąć uszy ministeryalne żelaznego księcia: „zaniechać 50 morgowych parceli, bo te zawiodą, lecz tworzyć 200—300 morgowe posiadłości.“ Wszystkie te projekty wyglądają zresztą bardzo pięknie, bo p. Witt staje w obronie wyzyskiwanych robotników i chłopów, wyrzucając rządowi pruskiemu, że się troszczył dotychczas tylko o większych właścicieli. „Jeżeli rząd — kończy swoje argumentacye deputowany — może co roku miliony wydawać na zapomogi dla utrzymania parowców, dalej miliony na kolonie w krajach zwrotnikowych, które przez złe spekulacye i przez zabójczy klimat więcej szkodzą, niż pomagają — to dziwno mi, dlaczego ta wewnętrzna kolonizacya na taki natrafia opór...“

B.

Monopol solny.

Wśród warstw społecznych Europy nie wiele możnaby wskazać takich, któreby grubiaństwem swem, brutalnością, oraz ciasnotą umysłową przewyższały junkrów pomorskich. Junkierstwo nic zgoła dodatniego nie dostarczyło człowieczeństwu — przeciwnie, zawsze i wszędzie staje w zwartych szykach do boju przeciw humanitarniejszym powiewom, w każdej chwili gotowe pospieszyć z pomocą wszelkiemu zamachowi na swobodę ludzką. Wśród tej to atmosfery wyrósł ów bohater z pod Sedanu, co wyrzekł, że pokój wieczysty jest mrzonką i do tego bynajmniej nie powabną, że wojna stanowi podwalinę zesłanego przez stwórcę porządku, gdyż inaczej ludzkość zmateryalizowałaby się, utraciła poczucie rycerskości i obowiązku... Na polu produkcyi materyalnej Pomorze wysyła na rynek wszechświatowy jeden, jedyny wytwór, a jest nim gorzałka — okręty niosą ją z portów pruskich do Francyi południowej, do Włoch, słowem wszędzie, gdzie ścielą się winnice, by z powrotem wieźć zafałszowane wódką wino. Alkohol junkierski rozlewa się po rynkach azyatyckich, zapełnia składy w portach Ameryki południowej, a obecnie wraz z banderą niemiecką i kapelanami protestanckimi wkracza do Afryki i na wyspy Samoa i Karolińskie, by prawdopodobnie pocieszyć nieszczęśliwych „synów przyrody“ postracie „rozpasanej“ wolności.

Lecz przedewszystkiem junkierstwo odświeżyło tradycyę Hobbesowskiego Lewiathana. Zatopić społeczeństwo w państwie, wolnych obywateli kraju zamienić w żołdactwo ślepe, lub spodloną biurokracyę, oświatę ująć w karby koszarowe, udział społeczeństwa przy przeprowadzaniu opodatkowania zastąpić przez wiekuiste monopole fiskalne, które jednym zamachem unicestwilyby największe prawo parlamentów: głosowanie budżetu — oto kilka przykładów z pośród społecznego programu junkrów. Ponieważ z jednej strony, dzięki dowodzeniom urzędowych ekonomistów niemieckich, teorye monopolów tytuniowych, wódczanych i in. zyskały sobie niejakie wzięcie, ponieważ z drugiej strony niektórym romantykom społecznym uśmiechają się one jako jutrzenka lepszego ustroju społecznego, jako wstęp do upaństwowienia produkcyi całej — przeto nie od rzeczy będzie przedstawić takie monopole fiskalne w świetle właściwem. Za przykład weźmiemy monopol solny w Austryi, a faktyczną stronę zapożyczymy z broszury hr. Hompesch - Bollheima: „Salzmonopol, 1886.“

Gdziekolwiek istnieje monopol solny, wszędzie zawisł on ciężko nad ludnością miejscową. Zaprawdę dość przytoczyć choć dane następujące: wówczas, gdy podatek solny na mieszkańca w Rosyi wynosi 27, we Francyi 36, w Niemczech 45 — w Austryi (monopol) równa się aż 75$\frac{1}{2}$! c. Tu sprzedaż soli przynosi 600—800% czystego zysku rocznie — to starczy za całe tomy dowodzeń i argumentów. Cały ten niesłychany ciężar spada w głównej swej masie na uboższe warstwy ludności, bo chociaż sól stanowi dla nich, zarówno jak też dla klasy zamożnej, wydatek nieunikniony, lecz brzemię podatku daje się więcej uczuć w budżecie ubogiego wyrobnika, aniżeli finansisty lub wyższego urzędnika. Co więcej, warstwy pracujące płacą przecięciowo od jednostki więcej podatku, gdyż spożywając przeważnie pokarm roślinny, potrzebują więcej soli niż ci, którzy używają mięsa. Sól bydlęca w Austryi jest opodatkowaną na równi z kuchenną; wówczas gdy w Niemczech zarządy solne państwowe sprzedają tamtę po cenach zniżonych, dorzucając do soli kuchennej domieszki różne, czyniące ją niespożywalną dla człowieka, w Austryi pod pozorem, że mimo domieszkę ludność obraca sól bydlęcą na swój użytek, zniesiono 1868 r. zanieczyszczanie soli i bydlęcą zrównano w cenie ze zwykłą. Bezpośrednim tego następstwem było zmniejszenie udoskonalonej hodowli bydła i unicestwienie jednego ze źródeł bezpośredniego fiskalizmu: zamożności włościanina. Wreszcie mimo niezwykłe bogactwo pokładów solnych w Austryi, nie spotkasz tu odpowiedniego rozwoju produkcyj, przerabiających lub używających w swym procederze soli. Kiedy w Niemczech na mieszkańca przypada 2,20 soli bydlęcej i 4,3 przemysłowej, w Austryi odnośne cyfry wynoszą 1,90 i 0,54! I to wszystko dzięki fiskalizmowi. „Monopol solny Austryi — powiada przytoczona broszura — na tem samem utrzymuje się stanowisku, co przed stu laty, urągając potrzebom rozwiniętej kultury i mimo walkę ciężką, jaką stacza rolnictwo i przemysł krajowy — jest to zaiste smutny dowód samolubstwa fiskalnego.“ Zresztą dość przejrzeć dzieje sejmu galicyjskiego — corocznie wchodzą doń liczne petycye względem monopolu solnego: bądź to, co do urządzenia trafik solnych, lub obniżenia ceny soli dla bydła, bądź też, by pozwolono gminom, na gruntach których znajdują się źródła soli, dobywać ją stąd na własną potrzebę. Sejm znów pod naciskiem społeczeństwa z roku na rok wotuje różne wezwania do władz wyższych i w odpowiedzi otrzymuje, czyli raczej żadnej nie otrzymuje odpowiedzi. Fiskalizm stoi w swych zasadach niewzruszony!

Przypatrzmy się teraz samemu gospodarstwu solnemu. Monopol państwowy, usunąwszy współzawodników prywatnych, nie znajduje żądnego hamulca. Ponieważ idzie mu przedewszystkiem o interesy fiskalne, o to, by jak najwięcej złupić podatku, ponieważ w ciągu dalszym opanował niepodzielnie produkcyę niezbędnego dla wszystkich wytworu, czyni zatem, co mu się tylko spodoba. Nakłada przeto ceny dowolne, ani też dba o ulepszenia techniczne; czy koszta produkcyi będą większe, czy też mniejsza: na tem ucierpi jedynie spożywca. Wolna konkurencya do tego wszystkiego nie dopuszcza; zmuszając wytwórców do ciągłego obniżania ceny wytworów, tem samem zniewala ich do ciągłych ulepszeń. Nic podobnego nie spotkamy wśród monopolu. Porównywając np. koszta produkcyi soli w różnych krajach, przekonamy się, że stoją one w Austryi najwyżej; produkcya tu odbywa się wedle metody prastarej, zasługującej na wieczny odpoczynek w muzeach technicznych. Wskutek takiego zacofania Austrya utraciła rynki solne w Rosyi i w Niemczech. Produkcya solna w Niemczech, spoczywając w ręku prywatnem, wskutek zmniejszenia kosztów, wyrugowała z Niemiec sól austryacką, wytłoczyła ją następnie z Rosyi, a obecnie poczyna z nią, mimo ceł wysokich, współzawodniczyć w Czechach i Szląsku austryackim.

Bankructwo techniczne — oto przyszłość produkcyi solnej w Austryi. Takie następstwa pociąga też wszelki inny monopol fiskalny. Społeczeństwo traci jako spożywca, traci jako zbiór obywateli, którym uszczuplono pole samodzielnego wpływu przy obradach nad budżetem. Wybierając pomiędzy manchesteryzmem a monopolem fiskalnym trzeba oddać pierwszeństwo bezwarunkowe tamtemu. Monopol państwowy tylko wtedy pożądanym być może, kiedy państwo wyrzeka się wszystkich stąd korzyści, jak to widzimy poniekąd w instytucyi pocztowej. Co zaś do tych romantyków, którzy w monopolach widzą świtanie innego ustroju społecznego, powiemy tylko, że ustrój, do którego mają nas doprowadzić monopole państwowe, niczem innem nie będzie i być nie może, tylko olbrzymiemi koszarami.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Ostoja. **Szkice i obrazki.** Warszawa, 1886.

Gdybym miał w kilkunastu wyrazach określić naturę talentu p. Ostoi, powiedziałbym, iż jest ona poetką tłumionych pragnień, poniewieranych uczuć, szarej doli i ciasnych widnokręgów: dotychczas przynajmniej autorka ani razu nie chciała, czy też nie mogła wznieść się bodajby po nad wieżyczkę malowanych przez siebie wiejskich kościołków, bluźnierczem pytaniem nie zamąciła spokoju błękitów, gromem przekleństwa nie rozdarła szarych obłoków, tak nizko zwieszających się nad głowami jej wydziedziczonych bohaterów i bohaterek. Myśl jej, jak smuga ciemnego dymu na pogorzelisku, przesuwa się tuż przy ziemi i, przepływając nad stosem rumowisk — ginie wśród mogił. Duch jej twórczy, jeżeli upiorem tym błąkać się dziś wolno jeszcze, walczy o kroplę rosy dla spopielałych szczątków, o promień słońca dla grobów, walczy jak żołnierz, osamotniony na pobojowisku—nie pragnąc zwycięstwa i zazdroszcząc tym, ktorych śmierć odwołała z szeregów.

Za beznadziejność tę i smutek zdążono już zrobić autorce ojcowski zarzut. Ze stanowiska etyki społecznej zasługuje on na pewne uwzględnienie, w trybunale sądów piśmienniczych — razi śmiesznością; w obu zaś powyższych wypadkach jest dowodem tego, że p. Ostoja ma talent, że posiada naturę artystyczną. Jakiemkolwiek będzie oświetlenie danej doby dziejowej, talent powieściopisarski musi odegrać rolę pryzmatu, który promienie jego skupi albo rozproszy, załamie lub ubarwi — a zawsze oczom widza pokaże. Jasność obrazów — jest sprawą siły i stopnia potęgi twórczej, za kształt ich i zabarwienie odpowiada temperament pisarza, ale treść, jeżeli jest

wyrazem artystycznej nie rzemieślniczej twórczości— musi być wziętą z najbliższego otoczenia. Tylko geniusze i psychopaci mogą sięgać po natchnienie gdzieindziej: pierwszym przysługuje prawo wcielania ideałów ogólno-ludzkich, drudzy znajdują swoje w komórkach chorego mózgu.

Gdyby ciasnota, pod wszelką jej postacią, mogła ogarnąć sobą rozległe obszary, to cud ten, przeciwny naturze, byłby znamienną cechą naszej cywilizacyi dzisiejszej. Kraj nasz jest ciemną lepianką, w której historya z cynizmem chciwej przekupki zgarnia szczere złoto lepszych dążności i wyższych pragnień — wzamian za kawałki czerstwego chleba, za wytarte szelągi powszednich zarobków, wzamian za kwitki na prawo zbierania okruchów zbiesiadnego stołu ludzkości. Historya jest cyniczną; otaczająca ją u nas głodna rzesza— musi być smutną.

Poza obrębem głupoty i literackiego błazeństwa dwa tylko czynniki usiłują w naszem powieściopisarstwie wpłynąć na zmianę panującego dokoła nastroju uczuć. Silna wiara i geniusz. Wśród rzeszy tłoczącej się przed straganem historyi, dwie tylko postacie mogłyby w szatach występować jaśniejszych: zahartowany na niedolę wyrobnik i... prometeusz. Jeden nie ulęknie się wiedźmy, drugi — z wyżyn ludzkiego ducha sprowadzi ogień, co serca wyziębione opuścił.

Pani Ostoja nie ma dość silnej wiary i nie jest prometeuszem — musi więc być smutną; że zaś naturę posiada artystyczną— nie może przeto w utworach swoich nie odzwierciedlić tej ciasnoty widnokręgów, tej poniewierki uczuć, tych karłowatych pragnień, jakiemi ją karmiło i karmi otoczenie. W kilkunastu mniejszych lub większych powiastkach autorki ani razu prawie nie odzywa się nuta weselsza, walka ani razu nie kończy się zwycięstwem, promień nigdzie nie rozprasza ciemnoty zupełnie, szczęście nie wciela się nigdy w kształt widomy, nie przekracza granic gorączkowego majaczenia albo przelotnych złudzeń. Bohaterowie jej i bohaterki niewysłuchani i niesłuchani przez nikogo duszą się i giną, nie zdoławszy ani razu wybuchnąć głośniejszem łkaniem. Żaden z nich i żadna nie sięga zuchwale po większą i pełniejszą czarę upojeń: idzie tam o zagłuszenie płaczu głodnego dziecka, o chwilę wytchnienia po pracy, która się nigdy nie kończy, o jałmużnę uczucia, o zaspokojenie tępej i nieumiejącej się wypowiedzieć namiętności — a przedewszystkiem o wyrwanie się ze szponów głuchej i ślepej nędzy. Klątwa szarej doli ciąży nad wszystkimi i nad każdym, martwota jej wszystkich obezwładnia, pozwalając czasem tylko na stłumioną skargę, nigdy—na głośniejszy okrzyk bolu albo rozpaczy. Przyjrzyjmy się bliżej kilku postaciom.

Biedny wyrobnik, któremu za prawo życia opatrzność krwawym potem płacić kazała, stracił przed czasem zdrowie i siły. Zarobek się zmniejszył, współzawodnictwo młodszych towarzyszy odbierało mu coraz częściej „uczciwy" kawałek chleba i byłby może nigdy nie doznał wytchnienia, nigdy nie doświadczył chwili szczęścia, gdyby nie cudowne złudzenie — w gorączce. Zraniony śmiertelnie przy dźwiganiu jakiegoś ciężaru odwieziono do szpitala. Tam miał widzenie: zdało mu się, że jest u krewnych, w swojej wiosce rodzinnej — pod Lidą. W ogródku brata miał kilka własnych ulów, o których marzył często, gdy chciał odpędzić z oczu łzy niedoli i głodu. Teraz ule te widział: ilość ich wzrosła, brzęczenie pszczół kołysało rozpaloną głowę do marzeń rozkosznych, ciepło letniego południa kazało mu zapomnieć o surowych wyrokach opatrzności, zapachy kwiatów odurzały konającego nędzarza, przenosząc w świat, którym poezya i teologia posługują się z równem prawem, choć nie w jednakim celu. Potrzeba czytać tę drobnostkę p. Ostoi, aby powziąć wyobrażenie o plastyczności obrazu, o umiejętnem zużytkowaniu przez autorkę siły kontrastu: nędzy na miejskim bruku i czarów ostatniego w życiu *fata-morgana*.

Młode małżeństwo. Mąż zapracowuje się na śmierć, chcąc zdobyć sławę i aksamitne futerko dla ukochanej istoty; żona strzegąc i, *comme de raison*, podsycając domowe ognisko, uprawia miłość. On umiera, nie osiągnąwszy ani jednego z dwóch celów, ona — pozostaje bez chleba. Szara dola stopniowo łagodzi jaskrawsze ślady miłości w jej sercu i zbytnią wrażliwość niewieściej dumy. Resztę majątku wydziera jej człowiek, nie mający do niego żadnych praw, ale dobrze znający się na prawie, resztkę dumy kupuje stary birbant, z którym „zgubiona" ucieka za granicę.

W „Emancypowanej" młoda dziewczyna wyjeżdża na studya lekarskie do Genewy. Celem tej pracy jest zaspokojenie skromnych potrzeb starego ojca, który wskazawszy jej niezwykłą dla „aniołów ziemi" drogę walki o niepodległość duchową, starał się kosztem własnej nędzy i głodu osiągnięcie celu ułatwić. Na krótko przed dojściem do mety upragnionej starzec umiera. Nad otwartą jego mogiłą zbiera się dokoła przybyłej tłum głupkowatych filistrów, towarzyszów i towarzyszek jej lat dziecinnych, którzy lękają się zbliżyć do niej z obawy o własną cnotę.

Na opróżnioną przy kościołku wiejskim posadę organisty zgłasza się do proboszcza dwóch kandydatów: stary i młody. Pierwszy ma żonę i czworo głodnych dzieci; rzemiosło swe zna gorzej od współzawodnika, który nadto zaleca się dobrodziejowi, jako niedouczony ogrodnik. Szala wyboru widocznie przechyli się na stronę młodego, ale ksiądz odkłada wyrok ostateczny do jutra. Współzawodnicy powracają razem do gospody. Miłość ojcowska każe starszemu z nich zamordować drugiego. Topi więc go, przeprawiając się przez rzekę. Nazajutrz zjawia się sam jeden i zastaje trzeciego kandydata, którego już zgodzono... Wszystkie męki niepewności i oczekiwania uwydatniła autorka w twarzach zapaśników z prawdziwem mistrzowstwem. Osobistość księdza odznacza się prawdą niepospolitą, chociaż pochwyconą w kilku rysach zaledwie: jest to świętobliwe zero, przy kreśleniu którego ani dewocya ani fanatyzm antireligijny nie kierowały piórem p. Ostoi.

Zamożny gospodarz wiejski, żonaty ale bezdzietny, zakochał się w żonie przybłędy-szewca, człowieka dość mizernego duszą, a zwłaszcza ciałem. Szewcowa kochała męża przez wdzięczność: wziął ją wraz z jej dzieckiem, które już miała utopić z rozpaczy. Nieszczęśliwa jej współzawodniczka umiera pod brzemieniem pracy i zgryzot; kochanek odzyskuje więc wolność, ale sprawa jego zalotów nie posuwa się przez to. Doprowadzony do ostateczności, bije on bez litości biednego szewca, który niebawem umiera. Gospodarz żeni się z wdową i — wracając od ślubu podchmielony — wyznaje jej w drodze, iż przyczynił się do śmierci pierwszego jej męża. Pan młody wraz z gośćmi wchodzi do karczmy; oszołomiona piekielną wieścią oblubienica zostaje na dworze. Powoli zarysowuje się w jej pamięci obraz sponiewieranego nikczemnie biedaka. Ciemne jodły, czerniące się nad śnieżnym całunem pobliskiego cmentarza wabią ją ku sobie. Oddala się coraz bardziej od karczmy, przechodzi przez drogę i zadumana siada na grobie nieboszczyka męża. Świt poranku zastaje ją na tem samem miejscu zmarzniętą.

Dość już tych przykładów. O treści utworów p. Ostoi możemy powziąć z nich jakie takie wyobrażenie. O charakterze ich ogólnym mówiliśmy przed chwilą; tutaj dodam jeszcze słów kilka.

Powiedziałem, iż p. Ostoja jest poetką ciasnych widnokręgów i tłumionych pragnień. Rozbiór powiastek jej zdanie to potwierdza. Ludzie jej są wtedy tylko prawdziwymi, gdy cierpią nakształt bydląt, gdy jakaś siła zewnętrzna lub brak wewnętrznej nie pozwoli im cierpienia tego ujawnić dość wyraźnie. Organista p. Ostoi, znoszący męki niepewności i trwożnego oczekiwania, biedak, któremu „ślina w gardle wysycha," lecz który wobec proboszcza inaczej niepokoju swego wyrazić nie śmie, jak przestępowaniem z nogi na nogę i skubaniem czapki — jest do złudzenia plastycznym, ale zbrodniarzowi, przychodzącemu na plebanię po utopieniu towarzysza i zastającemu tam niespodzianie nowego współzawodnika, każe autorka odegrać scenę rozpaczy na wzór nędznego aktora. Sytuacye bardzo bolesne wprawdzie, lecz pospolite swojem bezbrzeżnem u nas upowszechnieniem odtwarza autorka znakomicie; ale z chwilą, gdy w koło dobrze znanych sobie widnokręgów zapragnie wtłoczyć jakąś niezwykłą tragedyę życia — staje się brutalnie nieprawdopodobną. Taką jest właśnie, gdy pozwala oblubieńcowi i gościom hulać *przez noc całą*, nie zwracając ich uwagi *na nieobecność panny młodej na weselu*.

Pani Ostoja zdradza niepoślednią znajomość życia naszego ludu i rzadko bardzo daje się pod tym względem pociągać fałszywym efektom. Na jedną szczególniej stronę natury wieśniaczej, uwydatnioną w jej powiastkach, pragnąłbym zwrócić uwagę tych, którzy o socyologii i psychologii zniknąd, oprócz powieści, dowiadywać się nie chcą. Uczucia religijne chłopów mają w powiastkach p. Ostoi właściwe oświetlenie. Ciemny umysł wieśniaka w niezrozumiałych lub źle pojętych zjawiskach przyrody, w przypadkowej grze czynników społecznych znajduje taki zasób argumentów i dowodów na korzyść swej kosmogonii i teologii, iż lękliwe trzepotanie się wszystkich nietoperzów, strzegących niezagrożonej przez nikogo wiary ludowej, jest wobec tego śmiesznem i niesumiennem. Śmiesznem — gdyż w skarbnicy poczciwy kmiotek przechowuje bynajmniej nie to, czego strzedz mu nakazują gorliwi; niesumiennem zaś — dlatego, że niepotrzebny alarm opóźnia tylko wewnętrzną pracę nad rozwojem uczuć i pojęć. Nadmienię, iż do wniosków tych p. Ostoja upoważniła mię o tyle tylko, o ile portret lub fotografia upoważnia do pewnych przypuszczeń na korzyść lub niekorzyść osoby.

Maryan Bohusz.

LITERATURA FRANCUSKA.

Mathias Duval. **Le Darwinisme**, Bibliothèque anthropologique. 1886.

Jest to pełne i zaokrąglone streszczenie dwuletniego wykładu autora w szkole antropologicznej paryskiej. Duval występuje jako żarliwy obrońca darwinizmu. Poświęca on historyi embryologii obszerny wstęp swego dzieła, wykazując jej znaczenie dla teoryi rozwoju. W pierwszej części znajdujemy ogólny jej wykład. Autor rozbiera doktryny, dotyczące pojęcia rasy i gatunku, dawne klasyfikacye, wykazując ile światła na pokrewieństwo gatunków rzuciły odkrycia paleontologii i embryologii. Następnie bada szczegółowo rodzaj ludzki, oznaczając miejsce zajmowane przezeń w przyrodzie. Rozbiera różnice i podobieństwa człowieka w stosunku do innych zwierząt, zajmuje się wreszcie wyobrażeniami o świecie nadprzyrodzonym i moralności, jakie w historyi rozwoju ludzkiego powstawały. W drugiej części zastanawia się nad poprzednikami Darwi-

na, szukając źródła teoryi mistrza u filozofów starożytności, Bacona, Lineusza, Buffona i innych. Z kolei przechodzi do rzeczywistych poprzedników Darwina: Lamarcka, Geoffroy St. Hilaire'a, Cuviera. Trzecią część poświęca przedstawieniu warunków, które przyczyniły się do powodzenia darwinizmu, mówi więc o nowych odkryciach geologii, doktrynie Lyella, dowodach starożytności rodzaju ludzkiego, postępach embryologii, epigenezie Wolffa, paraleli między organogenią i anatomią porównawczą, ustalonej przez Serres'a, podaje wreszcie historyę życia i prac Darwina. Szczegółowy wykład poglądów tego myśliciela zajmuje część czwartą dzieła. W piątej zbija autor zarzuty, stawiane darwinizmowi, przytacza nowe fakty, które poparły ową teoryę. Wogóle książka prof. Duvala stanowi wymowną obronę darwinizmu, który jest tu wszechstronnie wyrażony i wyświetlony. Rzecz pisana w sposób dostępny i zajmujący.

Arthur Vianna de Lima. **Exposé sommaire des théories transformistes de Lamarck, Darwin et Haeckel.** Paryż, 1886.

Nie jest to samodzielny badacz naukowy, występuje przytem po raz pierwszy z pracą przeznaczoną dla szerszych kół publiczności. Obok szczegółowego wykładu teoryi rozwoju, dziełko poświęcone jest krytyce spirytualizmu i materyalizmu. Autor staje na gruncie monistycznym. W pierwszej części mówi o rozwoju życia, oraz mechanizmie i jednolitem pojęciu objawów życiowych. Druga część poświęcona jest wykładowi teoryi Darwina; w trzeciej zestawia autor dzisiejsze naukowe pojęcia o rozwoju naszej planety i organizmów z legendami teologicznemi, w czwartej znajduje się dosadna krytyka tych ostatnich. Jest to praca popularna, nie pozbawiona jednak naukowej ścisłości.

Berthelot. **Les origines de l'alchimie.** Paryż, 1885.

Zasługuje na zaznaczenie ważny fakt, że nauka wkracza dziś w dziedziny, które niedawno jeszcze pozytywny racyonalizm uważał za leżące po za obrębem wszelkiej umiejętności i traktował je pogardliwie. Najnowsze przecież badania w kierunku psycho-fizyologicznym, zadziwiające objawy magnetyzmu, hypnotyzmu, odgadywania myśli itp. wprowadziły nas w sfery, które dotąd uważano jedynie za należące do świata czarów, cudów i mistyczno-religijnych dociekań. Odkryto tam przecież i sprawdzono zjawiska, które acz kolwiek wykraczają po za zwykłe ramy naszych wyobrażeń o materyi i objawach życiowych, nie stoją jednak w zasadniczej sprzeczności z podstawami szerszej pojmowanej nauki i są tylko dalszem rozwinięciem znanych nam właściwości. Bacon widział w alchemii jedynie mieszaninę zabobonów i ślepej rutyny. Pogląd ten na czarnoksiężników średniowiecznych przechował się do dziś wśród racyonalistów i uczonych. Niezrażony tem uprzedzeniem znakomity chemik francuski, Berthelot, nie zawahał się zajrzeć pilnie do do samych źródeł, ażeby się przekonać, czem właściwie była alchemia starożytna i średniowieczna? Z mozolnych tych badań nie wyniósł bynajmniej potępiającego i lekceważącego sądu o alchemii. Była ona bezsprzecznie mieszaniną empiryzmu i mistycyzmu, czepiającego się swemi pojęciami dalekiego Wschodu; w pracowniach jednak alchemików wyrabiały się filozoficzne, przyrodnicze poglądy na istotę materyi i jej własności, poglądy, które w wielu punktach zasadniczych godzą się z dzisiejszemi zapatrywaniami. Praca Berhelota oparta jest, jak nadmieniliśmy, na szczegółowem zbadaniu zabytków greckich, egipskich i średniowiecznych mieszczących się w muzeach europejskich. Autor przytacza je i objaśnia. Praca ta świadczy o głębokiej i wszechstronnej erudycyi szan. profesora i jest ważnym przyczynkiem do dziejów wiedzy wogóle.

Léon Donnat. **La Politique expérimentale.** Paris, 1885. (Bibliothèque des sciences contemporaines.)

Autor jest uczniem Augusta Comte'a i Le Playa, zachowującym jednak własny sąd o rzeczach. W książce tej zebrał niepośledni zapas wiedzy i własnych doświadczeń, czerpiąc materyał w wieloletnich podróżach po całym świecie i wszechstronnej znajomości literatury spółczesnej. Twierdzi, że cała polityka dzisiejsza opiera się na grubym empiryzmie i względach, niemających żadnej wspólności z nauką i jej wymaganiami. Radby też przemienić społeczeństwa w wielkie pola, na których uczeni politycy robiliby doświadczenia. Eksperymenty jednak *in anima vili* mają swą granicę a *wiwisekcya* społeczna mogłaby nas za daleko doprowadzić. Autor ma zupełną racyę za sobą, gdy powstaje na zbytnią centralizacyę francuskiej Rzeczypospolitej i domaga się szerokiej decentralizacyi wraz z samorządem. Niewątpliwie, bezpieczniej byłoby wtedy eksperymentować w ciaśniejszym zakresie. W krajach zresztą, urządzonych mniej lub więcej decentralizacyjnie, metoda doświadczalna polityki znajduje swe zastosowanie. Reformy wprowadzać można wówczas częściowo, jak to się nawet dzieje w W. Brytanii lub Stanach Zjednoczonych. Nie należy jednak mniemać, że wszystko dziś w naukach politycznych jest surową empiryą, która czekać dopiero potrzebuje potwierdzenia. Są pewne zasady jasne, jak słońce i teoretycznie wyjaśnione, które tylko z trudnością znajdują swe zastosowanie. Z narodami różni polityce eksperymentowali już niejednokrotnie i z doświadczeń tych wynieśliśmy przecie jakąś naukę. Dzieło zresztą p. Donnat, obfitujące w liczne fakty i trafne spostrzeżenia, zasługuje na bliższe poznanie.

H. Baudrillart. **Les populations agricoles de la France, Normandie et Bretagne.** Paryż, 1885. 1 vol.

Budzące się u nas zainteresowanie krajoznawstwem zwrócić powinno uwagę na pracę powyższą. Wypłynęła ona z pobudek podobnych. We Francyi życie ludu i prowincyi jest również nieznanem, jak u nas. Dla zaradzenia temu brakowi paryska Akademia nauk moralnych i politycznych podjęła rozległe zbadanie naukowe całej Francyi. Z ramienia jej L. Reybaud badał stan ludności przemysłowej. Równolegle zajęto się poznaniem ustroju i życia wiejskiego. Zadanie to wziął na siebie Baudrillart i książka powyższa jest właśnie owocem pracy jego w tym kierunku. Krajoznawcy nasi znajdą w niej niejedną wskazówkę do samodzielnych studyów; radzimy im jednak, ażeby nie zarażali się adwokackim duchem francuskich ekonomistów, którzy wszędzie szukają tylko sposobności dla dowiedzenia, że wszystko idzie najlepiej w tym najlepszym ze światów — jeżeli zaś są jakieś plamy na tem słońcu, to dla tego, że świat ów rad ich dotąd pilnie nie słucha.

Edouard Drumont. **La France juive.** 2 tomy. Paryż, 1886.

Olbrzymi ten, dwutomowy pamflet, zyskał ogromny rozgłos we Francyi. Książka jest rozchwytywana w Paryżu; wszystkie dzienniki już o niej pisały. Do rozgłosu przyczyniły się jeszcze dwa pojedynki, jakie autor odbył z powodu swego wystąpienia w duchu autisemickim. Z obu p. Drumont wyszedł ranny. W pierwszym, z dziennikarzem Laurent otrzymał lekkie zadraśnięcie, w drugim jednak, z wydawcą *Goulois* (dziennik klerykalno-monarchiczny), p. Meyerem, niebezpieczną ranę, z której się jeszcze nie wyleczył. Ponieważ przytem przeciwko temu ostatniemu wytoczono śledztwo sądowe za nieprawidłowe zachowanie się podczas walki, sprawa więc nie schodzi z porządku dziennego. Dodamy jeszcze, że p. Drumont należał dawniej do obozu liberalnego, ostatnimi jednak czasy przeszedł do konserwatywnego, jak zapewniają przyjaciele, ze szczerego przekonania. Do chwili pierwszego pojedynku był redaktorem katolickiego *Monde'a*, po pojedynku jednak, który jest przez kościół zakazany, z redakcyi ustąpił. W przedmowie powiada, że wstępując w ślady Taine'a, który nakreślił *la conquête jacobine*, chciał dać obraz *conquête juive*, na tle stosunków społecznych. „Książka moja — powiada dalej — wiąże się z wszystkiemi temi pracami psychologów, powieściopisarzów, kronikarzy i krytyków spółczesnych, którzy, jak Daudet, Zola, Bourget... chcieli zobrazować zmieniający się świat społeczny. Każdy z nich ma przeczucie bliskiego przewrotu i stara się pochwycić główne rysy tego, co ginie, jutro zaś będzie zaledwie wspomnieniem.“ W pierwszej części opowiada szeroko historyę żydów w różnych krajach Europy, sięga przytem do wieków odległych i kreśli równoległe zapasy ducha chrześciańskiego z judzkim. Powiada tu rzekomy ów historyk między innemi, że „Wilno,“ ta *vagina Judeorum*, jest wielkim rezerwoarem, który wylewa żydów na Europę, na świat cały?! W dalszym ciągu mieszczą się dzieje izraelitów, przyczem autor zajmuje się szczegółowo wewnętrzną historyą Trzeciej Rzplitej, gdzie wszędzie widzi zakulisowe matactwa żydowskie. Sportretowano tu mnóstwo żyjących osobistości i podano wiele giełdowo - spekulacyjnych szalbierstw, zawsze oczywiście pod pokrywką antisemityzmu. Wiele z tych szczegółów zasługiwało rzeczywiście na wyjawienie, należało tylko zatytułować książkę jakiemś mianem ogólniejszem, bez uciekania się do namiętności. Byłby to niewątpliwie przyczynek do stosunków spółczesnych, niezabarwiony religiją i plemienną zawiścią, w którym mogłoby figurować wielu bardzo dobrych katolików. Panowie antisemici chrześciańscy zapominają zawsze, że przecież i Chrystus był żydem. Pamflet ten, pisany z werwą, zawiera dokumentów ludzkich niemało — jest jednak zawsze tylko pamfletem, zaprawnym jadem ciasnych wyobrażeń i uprzedzeń, które głębsza publicystyka społeczna odtrąca ze wstrętem.

P.

WYNALAZKI.

Zużytkowanie żelaza zamiast cynku w stosie Wolty.— Pompa bez tłoka. — Szyny papierowe. — Nowy bruk. — Aljaże kobaltu z miedzią. Nowe materye wybuchowe. — Płyny lotne do gaszenia pożaru i niszczenia mikróbów. — Produkty otrzymywane z dymu.

Dla wytworzenia prądu elektrycznego w stosie Wolty dotąd używane cynku, obecnie chemik angielski, Coleman, projektuje zastąpić ten metal żelazem. Zbudował on stos Wolty, w którym blaszka miedziana zanurza się w roztworze siarczanu żelaza. Trzy tego rodzaju elementy rozkładają wodę doskonale. Roztwór koperwasu żelaznego, czyli siarczanu żelaza, może być zabezpieczonym od wpływu atmosfery i wynikającego stąd rozkładu, cienką warstewką olejku mineralnego. W stosie Colemana potrzeba wprawdzie użyć blaszki żelaznej o powierzchni nierównie szerszej, niż ta, jaką przedstawia blaszka cynkowa, ale za to koszt urządzenia tego stosu jest czterykroć mniejszym od ceny wszystkich dotąd znanych.

Coleman pozyskał wielkiej siły prądy elektryczne, zanurzając kawałki żelaza

i miedzi w roztworze soli kuchennej z chlorkiem wapna.

Chińczycy posiadają doskonałe pompy *bez tłoków*. Przyrząd ich składa się z jednometrowej rury szklannej, opatrzonej u dołu lub u góry klapą, otwierającą się z zewnątrz na wewnątrz, gdy jest pomieszczoną u dołu, — a w odwrotnym kierunku, to jest otwierającą się z wewnątrz na zewnątrz, gdy się mieści u góry rury. Tę należy zanurzyć w wodzie i nadać jej szybkie ruchy postępowo-wsteczne, w kierunku pionowym. Woda wówczas wznosi się szybko i wytryska na zewnątrz silnym strumieniem. Zjawisko to łatwe do wyjaśnienia. Rura po zanurzeniu w wodzie napełnia się nią aż do poziomu zewnętrznego płynu i wpycha wewnątrz powietrze. Gdy ją cofamy gwałtownie, pozostawiając dolny koniec w wodzie, klapa zamyka się, woda wznosi wraz z rurą i szybkością nabytą góruje po nad poprzednim poziomem. Powtarzając kilkakrotnie ów ruch, otrzymujemy ten skutek, że woda zapełnia rurę i wytryska za każdem jej wstrząśnieniem w kierunku od dołu ku górze. Ruch postępowo-wsteczny powinien zachodzić na długość 15 do 20 centymetrów.

Dla przyrządzenia pompy chińskiej dość zamknąć jeden koniec rury czopem z wywierconym otworem, a klapę wytworzyć z kawałka skóry koziej lub cielęcej, przytwierdzając ją drutem mosiężnym. Dla prawidłowego funkcyonowania przyrządu, potrzeba skórę zwilgocić. Klapa w górze rury jest dogodniejszą od przytwierdzanej u dołu, gdyż ta ostatnia wymaga rury dość wielkiej średnicy. Mająca 15 milimetrów średnicy jest dostateczną.

Można też po prostu, zamiast skórzanej klapy, użyć palca wskazującego ręki. Naciska się wówczas zwilgoconym na część górną rury; wszakże ciśnienie to nie powinno być zbyt silnem. Następnie zanurza się na kilka centymetrów w wodzie rurę, wstrząsając nią silnie od dołu ku górze. Woda wtedy wznosi się za każdem poruszeniem i wytryska otworem górnym. Palec funkcyonuje tu jak klapa, gdy jest nieruchomo utrzymywanym.

Amerykanie z papieru prasowanego od lat kilku wyrabiają koła do wagonów dróg żelaznych, obecnie zaś — szyny.

Produkt tego rodzaju przedstawia pewne korzyści ekonomiczne i utylitarne. Cena szyn papierowych jest niższą o jednę trzecią część od kosztu stalowych, a nadto szyny papierowe trwałością przewyższają stalowe, gdyż czynniki atmosferyczne nie wywierają prawie żadnego wpływu na papier prasowany. Przytem lekkość materyału dozwala wyrabiać szyny o wiele dłuższe od stalowych, a tem samem w biegu wagonów unika się wstrząśnień nużących, i co za tem idzie, szybkiego zużywania się taboru kolejowego. Wreszcie koła parowozu lepiej przystają do takich szyn, niż do stalowych, a machina parowa może zabierać większą liczbę wagonów, co znowu wpłynie na zmniejszenie kosztów pociągu, odbywającego drogę.

Byłoby do życzenia, aby te korzyści wcześniej urzeczywistniły się w szerszym zakresie przez zastosowanie wynalazku do torów dróg żelaznych europejskich, gdyż w miarę zwiększania się potrzeb przemysłu, zasoby węgla zawartego w ziemi zmniejszają się. W niedługim, bardzo może bliskim czasie, cena tego materyału opałowego znacznie się podwyższy, skutkiem małych jego zapasów. Otóż szyny stalowe potrzebują bardzo wiele węgla, którego skromna tylko ilość spalać się będzie przy użyciu papierowych.

Dziś już użytkują z nich amerykanie w ruchu tramwajowym.

Bryantowi zawdzięczać będziemy nowy bruk, składający się z żużli wysokich pieców i z tłuczonego granitu. Mięszaninę tę ugniata się z cementem portlandzkim, a gdy nastąpi zupełne zjednoczenie trzech tych części składowych, tworzy się z nich ciasto po dodaniu roztworu alkalicznego. Gdy masa nabędzie w pewnym stopniu spójności, wylewa się ją na ulice i chodniki, rozprowadzając jednostajnie walcami.

Bruk taki utwierdza się bardzo szybko i po upływie dwunastu godzin już może służyć przechodniom, co jest niemałą korzyścią dla dzielnic miasta, w których ruch jest więcej ożywionym.

Brukowanie tą masą odbywa się szybko; powierzchnia jej jest chropawa, a tem samem, ma nieporównaną wyższość nad asfaltem. Chropowatość pochodzi z twardości zeszklonych cząstek żużli wysokich pieców. Wreszcie dodać winniśmy, że bruk ten nie kaleczy nóg końskich, jak żelazny, co jest bardzo ważnym jego przymiotem.

Kobalt z miedzią tworzy aliażo barwy czerwonej, z rozłamem drobnoziarnistym; spójność, giętkość i kowalność posiadają one w wysokim stopniu, wskutek czego dają się kuć i wyciągać w blaszki w wysokiej temperaturze z wielką łatwością. Guilemin otrzymał te aliaże, topiąc w tyglu miedź z kobaltem, pod roztopem kwasu solnego z węglem drzewnym; w 100 częściach mięszaniny znajduje się 1 do 6 części kobaltu.

Aliaż zawierający 5% kobaltu jest najużyteczniejszym, nie utlenia się bowiem równie jak miedź, rozpłaszcza pod młotem z łatwością, a spójnym jest i giętkim, jak żelazo. W przemyśle może być zużytkowany ów aliaż do nitowania, do wyrobu rur, kotłów i blach ogniskowych w parowozach.

Podajemy wiadomość o nowych przetworach wybuchowych, mogących z korzyścią zastąpić dynamit. Pierwszym z nich jest *proch zielony*, składający się z 14 gramów chloranu potażu i z 3 gramów żółtego prusyanu potażu. Po zupełnem wysuszeniu (każdej z osobna) tych materyj w piecu temperatury stustopniowej, lub na blacie żelaznym, proszkuje się je na pył delikatny, poczem mięsza w stosunku wyżej oznaczonym. Proch taki za wstrząśnieniem nie wybucha, wszelako przy robocie należy unikać tarcia. Mięszaninę pomieszcza się we flakonie szklannym, a lepiej jeszcze w beczce dębowej z kulami drewnianemi i nadaje tymże ruch obrotowy. Kule miażdżą bryłki chloranu potażu, usiłujące bez przerwy formować gruzły w mięszaninie.

Proch zielony posiada siłę dynamitu, jakkolwiek jest od niego tańszym i wyrabia się z łatwością. Po sproszkowaniu obu materyj, dość pomieszać je na blacie, aby dobry proch otrzymać. Wilgoć mu szkodzi; zrazu żółty, po upływie kilku dni od ukończenia fabrykacyi staje się zielonym. Doświadczenia, odbyte w wielu kopalniach, okazały, że proch ten potrzebuje sprasowania do rozwoju całej swej siły. Po silnem sprasowaniu daje się doskonale przechowywać w nabojach papierowych i ulegać zmianie molekularnej lub chemicznej, powiększającej jego siłę wybuchową.

Przetwór ten może być z korzyścią zastosowanym do wyrobu bomb w ogniach sztucznych. Nawet pozostając w kapslach, słabo oporowych, wydaje silne skutki eksplozyjne.

Drugim materyałem wybuchowym jest tak zwany *Kinetyt*, złożony z nitrogliceryny, połączonej z tłuszczem. Badał ten związek dr Statelschmidt, profesor szkoły politechnicznej w Akwizgranie. Kinetyt mniej jest niebezpiecznym od innych ciał wybuchowych. Za pośrednictwem jego wybuch następuje tylko pod wpływem silnego wstrząśnienia i to w przestrzeni ściśnionej, poza obrębem której pozostałość nie spala się, lecz rozsypuje po trosze. Kinetyt zapalony płonie spokojnie, wydając żywe światło bez wybuchu. Silną eksplozyę z tego przetworu otrzymujemy, ogrzewając go w rurce, szczelnie zamkniętej.

Wyrobem tego produktu zajmują się energicznie w Anglii i w Niemczech.

Podobnego rodzaju mięszaninę wytworzyli Pastry i Fallenstein. Jest to masa galaretowata, pozyskana z roztworu nitrocellulozy w nitrobenzynie. Dodaje się do niej chloranów i azotanów w stosunku zmiennym, odpowiednio do tego, jakiej natury chcemy otrzymać materyę wybuchową, poczem ugniata się wszystko, aby cząstki użytych soli pokryły się galaretą i z sobą spoiły. Ostatecznie dorzuca się do mięszaniny 3% nadsiarku antimonu, ugniata raz jeszcze masę i otrzymuje ciasto, z którego można łatwo wyrabiać naboje, obwijane papierem pargaminowym.

Wreszcie do nowych przetworów wybuchowych zaliczyć winniśmy *Nitrokol*, na który pp. Lelarge i Amiaux otrzymali patent wynalazku. Według ich opinii, ciało to daje się otrzymywać łatwiej i ekonomiczniej od nitrogliceryny, jakkolwiek nie ustępuje jej w sile.

Dla wytworzenia nitrokolu, maceruje się klej gęsty w zimnej wodzie, aż do chwili maksymalnego nasycenia, poczem dokonywa się zjednoczenia za pośrednictwem słabego ciepła. Następnie masę przeciska się przez płótno i dodaje kwasu azotnego w takiej ilości, aby materya nie skrzepła wskutek jej oziębiania się. Wówczas traktuje się ją kwasem azotnym i siarczanym, podobnie jak glicerynę, gdy chcemy ją przetworzyć w nitroglicerynę. Produkt tak pozyskany, dobrze wymyty dla oswobodzenia go od nadmiaru kwasu, posiada też same własności, co nitrogliceryna.

Chemik francuski Raul Pictet wytworzył płyny lotne, z których wywiązujący się gaz niszczy najzupełniej mikroby wszelakiego rodzaju, a niemniej i owady szkodliwe, za których sprawą powstaje karbunkuł, trąd trzody chlewnej itp. choroby zwierząt domowych. Gazy tych płynów wdzierały się w najoporniejsze materye organiczne, tłumiły pożar, niszczyły mikroby, pomieszczone we flakonach szczel nie zamkniętych.

Mały balon kauczukowy, zapełniony p wietrzem, pomieszczony pod dzwonem szklanym z płynem gazotwórczym, wydymał się zwolna i pękał w końcu z głośnym hukiem, co dowodziło, że gaz wywiązany z owego płynu, przedarł się przez kauczuk do wnętrza balonu.

Kilka syfonów jego wystarczało do ugaszenia płonących desek obficie zlanych naftą. Nadmienić winniśmy, że litr tego płynu kosztuje 80 centymów. Jedyną niedogodność w tłumieniu pożaru stanowi to, że wytwarza się gaz duszący, drażniący w wysokim stopniu przewody oddechowe. Płyn ten składa się z kwasu siarczanego, pomięszanego z węglanym, w rozmaitym stosunku. Kwas węglany w stanie stałym, zetknięty z nim, przechodzi natychmiast w płyn, obniżając jego temperaturę do 75 stopni Celsiusza niżej zera.

Dla otrzymania mięszaniny kwasu siarczanego z węglanym, dość użyć tego ostatniego w ilości zmiennej, w stosunku do oznaczonej ilości kwasu siarczanego w stanie stałym. Rozpuszczenie następuje bezzwłocznie z gwałtownem wrzeniem — w chwili zetknięcia się z sobą dwóch tych kwasów. Mięszanina czy to samych gazów, czy płynów, czy też gazu z płynem w przeróżnych stosunkach, daje zawsze jeden rezultat, to jest wytwarza nowy płyn lotny. Widzimy stąd, że wybuchowy płyn niszczącego pasorzyty, a zarazem tłumiącego pożar, wymaga jedynie połączenia kwasu siarczanego z węglem, to jest związku ciał tanich, lecz z którymi manipulacya jest, przynajmniej obecnie, dość kosztowną. Z tego też powodu, płyny Pictetа nie mogą dziś jeszcze znajdować praktycznego zastosowania, z czego nie wynika, aby w przyszłości, przy uproszczonym procesie

wyrobu tych płynów, nie można było z nich użytkować.

Niezawsze „fortuna idzie z... dymem,“ gdyż obecnie w Ameryce z dymu pozyskuje się fortunę. W wielkich węglarniach w Elh Rapids, w których otrzymuje się dziennie pięćdziesiąt beczek węgla, dym służy do wyrobu produktów chemicznych.

W tym celu dym, wywiązujący się z 25 pieców, przechodzi przez rurę drewnianą do sąsiedniego jej wentylatora, który go wpędza do zbiornika, gdzie następuje zgęszczenie i oczyszczenie. W ten sposób otrzymuje się alkohol metylowy, smołę, gaz oświetlający, a głównie ocet drzewny (pyroxylicum acidum), służący do wytworzenia octanu wapna.

Ilość dymu przerabianego dziennie w zakładzie amerykańskim dochodzi 80,000 metrów sześciennych, z której to ilości otrzymują przeszło 5,400 kilogramów octanu wapna, 900 litrów alkoholu metylowego i 100 kilogramów smoły.

Zyski ze sprzedaży tych produktów otrzymane, pokrywają wszystkie koszty ponoszone na tę manipulacyę w zakładzie.

N.

TEATR.

E. Lubowskiego *Osaczony*, komedya.

Z trzech sztuk, nagrodzonych na konkursie dramatycznym, dostała się naprzód na deski sceniczne ostatnia — komedya E. Lubowskiego *Osaczony*. Autor przedstawia w niej szlachetną ofiarę potwarzy i intryg, kutych zwłaszcza przez dziennikarskich oszczerców i najmitów. Dzięki tym robotom, bohatér staje pod zarzutem, krzywdzącym jego dobre imię i spychającym go z pola działalności publicznej. Trochę przestarzałym i dorobionym sposobem L. wydobywa go z matni, mianowicie zapomocą przypadkowo znalezionego listu. Autor *Nietoperzów* posiada talent i upodobanie w kreśleniu tego rodzaju stosunków. Umie on skupiać i zużytkowywać cały materyał plotkarski, z którego w życiu tworzą się pozory, nieporozumienia, cienie na charakterach jasnych i światła na ciemnych, którym karmią się najchętniej półmyśli i półuczucia, obłuda, próżność i drobne ambicye. Jest to więc satyra teatralna i w teatrze nabiera istotnego znaczenia. Grano ją wybornie (pp. Wolski, Rapacki, Tatarkiewicz, Lüde, Rakiewiczowa, Czaki i in.), z doskonałem uwydatnieniem zamiarów autora i znamion jego postaci.

Poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance, gdyż wkrótce powrócimy jeszcze do komedyi Lubowskiego przy ogólnej ocenie rezultatów konkursu. Jest to zdaniem naszem dziwny, choć w całym świecie praktykowany zwyczaj, że wartość utworów dramatycznych ocenianą bywa wyłącznie ze strony scenicznej, literacka natomiast jest zupełnie pomijaną. Nieraz praca jakaś przez całe lata nie zwraca niczyjej uwagi i dopiero po ukazaniu się w teatrze wprawia w ruch wszystkie pióra krytyczne. To patrzenie na pewną gałąź literatury z za kulis teatralnych jest niedorzecznem i dzikiem, równoważnem np. mierzeniu liryki popisami estradowymi. Nie przeczymy, że teatr jako instytucya odrębna i wpływowa, a przytem posiadająca szczególne warunki, potrzebuje dla siebie osobnych uzdolnień, które jej wymaganiami oceniane być winny; ale mimo to pisane dla niego utwory nie przestają należeć do literatury i podlegać jej prawom.

Jako dzieło sceniczne komedya Lubowskiego ma wiele barw, ruchu, rozmaitości żywiołów, zaciekawia, zajmuje, uczy i rozśmiesza. Nie jest to wszakże żadną niespodzianką ze strony autora, który od lat dawna z powodzeniem i wielkiem doświadczeniem pracuje dla teatru. Czem jest *Osaczony* dla literatury? To inna kwestya, którą wobec Lubowskiego podejmowano rzadko, jak gdyby ona była całkiem zbyteczną. Dramat p. Kozłowskiego: „Albert, wójt krakowski“ drukuje się w *Gazecie polskiej*, komedya p. Mańkowskiego „Minowski“ — w *Echu muzycznem*, „Osaczony“ — w *Gazecie warszawskiej* — wszystkie te utwory, wyróżnione przez konkurs, są już na ukończeniu — wkrótce więc będziemy mogli o nich szczegółowo pomówić.

H.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Kazania na temat tolerancyi mniemań. — Gdyby ludziom szło o prawdę... — O co im często idzie. — Środki pokonywania. — Konieczność stoczonej obrony. — Przywileje wielkich. — Jasne dusze. — Morfina optymizmu. — Nasza przeciwwaga. — Naród nieprzecujący. — Zapowiedź konkursu nowego widowiska. — Reakcya przeciw wyrokowi konkursu dramatycznego. — Stara historya.

P. K. wystąpił w *Tygodniku ilustrowanym* z „angielskiem,“ chłodnem kazaniem na temat o „tolerancyi mniemań.“ Szan. kaznodzieja żąda, ażeby przeciwnicy nie obrzucali się wymysłami, lecz przekonywali argumentami. Żądanie bardzo chwalebne i w ostatniej dobie istnienia świata, kiedy — według hipotezy przyrodników — wyrówna się ciepłota całej natury, niezawodnie spełnionem będzie, na dziś jednak jest mrzonką. Nie wszystko bowiem, co się dzieje w literaturze i nie wszyscy, co na niej piórami orzą, należą do jej sił produkcyjnych. Na to najobszerniejsze z pól życia ludzkiego wbiegają co chwila rozmaite istoty wszelakiego gatunku, rozmaici spekulanci, niskie egoizmy, marne zawiści, umalowane dobrem publicznem osobiste pretensye, które wichrzą pracę spokojną i wywołują gorszące starcia. Gdyby ludziom szło ciągle i tylko o prawdę, w sferze myśli zaklócałby ciszę tylko łagodny szmer krzyżujących się z sobą zdań. Paweł powiedział A, Piotr — nie A, świadkowie zaś ich sporu szeregowaliby się porządkiem po jednej lub drugiej stronie. Ale ludziom idzie zwykle nie o prawdę, lecz — jak znamiennie wyraża się język — o „pokonanie“ przeciwnika. W kolczanie zaś środków tego „pokonywania,“ obok dowodów, najczęściej tkwi gniew, obelga, zazdrość, posądzenie, a nierzadko — potwarz. Gdy zaś te ostatnie strzały zaczną wylatywać, znika właściwy przedmiot walki i podstawia się zań inny, z obrażonej dumy, nienawiści, interesu wydobyty. Weźmy świeży i charakterystyczny przykład. Krytyk zarzucił autorce nieoryginalność w pomysłach. Zdawałoby się, że tę sprawę można rozstrzygnąć spokojnie, że ona nie rozumiętni osób trzecich, nikogo nie rozwścieckli, w szał nie wprawi. Tymczasem widzieliśmy, że tak było, że osią skandalicznych zapasów stał się wniosek: ponieważ Paweł osądził niesprawiedliwie Petronelę, więc Gaweł, Kacper itd. „muszą“ napaść Jana. Nie bronić się od napaści lub odpierać ją spokojnie? Z niemem lekceważeniem spoglądać dumnie na krzywdzicieli mogą, alo — wielcy i umarli. Żywym i niewielkim konieczność odejmuje ten przywilej. Stoicy rozumowali: „Mędrzec nie wpada nigdy w gniew, może on być łżonym i poniewieranym, ale nie może być zranionym i skrzywdzonym. Pamiętaj, że nie ten cię obraża, który ci wymyśla, lecz przekonanie, że w tem jest coś obrażającego.“ Wszystko to jest bardzo filozoficznem i mądrem dla — Epikteta, M. Aureliusza lub Seneki, którzy często w praktyce reguł tych — nie stosowali, ale nie dla śmiertelnych. Ci muszą walczyć. Jak? Chciałbym p. K. widzieć opadniętego przez baszybuzuków: czy też broniłby się „argumentami?“ A baszybuzuków posiada również literatura. Współpracownik *Tygodnika ilustrowanego* powinienby zadać sobie proste pytanie: czemu z tem pismem spierano się zawsze spokojnie, przyzwoicie? Dlatego, że ono nie szkalowało wtedy, kiedy wyrażało odmienne zdania. Najnędzniejszym chwastem prasy, rodzącym jej truciznę, nie są zarzuty umysłowe, lecz moralne. Nie to stwarza marne wiry, co dotyka cudzej wiedzy, ale to, co dotyka cudzego charakteru. Wiry owe z małemi przerwami kręcą się ustawicznie w naszem dziennikarstwie. Jeśli inaczej sądzisz, to — według etyki paszkwilu — jesteś niegodziwym, przeniewiercą, człowiekiem złej woli i wiary, szkodnikiem. Takie zaś: hep! hep! zwykle towarzyszy pisarzom postępowym, radykalnym. Nie wykrzykuje go wprawdzie żaden poważny rycerz chorągwi konserwatywnej, ale wrzeszczą pachołkowie i żaki. Gdyby ogół był akademią, możnaby zamknąć drzwi przed tym harmidrem i rozprawiać spokojnie. Ale ogół jest przedewszystkiem wrażliwy na siłę głosu, na zewnętrzne pozory, na aktorskie miny: ufa temu, kto najmocniej krzyczy, oskarża, bije się w piersi i rozdziera szaty. Jest to zapewne kwestya gustu, ale co do mnie, wyznaję, że mógłbym szanować przeciwnika, któryby mi sto razy powiedział, że czegoś nie wiem lub błądzę, ale nazwę każdego oszczercą, kto mnie posądzi, że świadomie kłamię. Bo wierzę, że są miliony ludzi ode mnie mędrszych, ale nie ma ani jednego szczerszego. Na tym punkcie nie uznaję „tolerancyi mniemań,“ a o ten właśnie punkt najczęściej opiera się u nas oś dziennikarskich polemik.

Ponieważ na wielu ścianach naszego życia czytam Baltazarowe ostrzeżenia, z przyjemnością więc patrzę na każdą rękę, która je ściera. Rozkosz tę sprawiłby mi p. Czesław Pieniążek, gdyby ramiast zatrzeć, nie zakrył złowrogich wyrazów. Miał on publiczną lekcyę w Krakowie, którą tak zakończył: „Nas nie ustraszą ani pesymistyczne dogmaty filozofii Hartmannowskiej — *ausrotten*, ani pesymistyczna polityka „siły przed prawem,“ ani ich *sojusznik* — pesymizm nowelistyczny. *Jasno nam w duszy*, bo — roztwieramy się ku temu światłu, co płynie od Boga.“ Jaki zachodzi związek między Hartmannem i Bismarkiem a ich „sojusznikiem“ naszym pesymizmem nowelistycznym — badać nie będę, bo jest to dla mnie zagadka zbyt trudna, a jej rozwiązanie prelegent powierzył wyłącznie redakcyi *Czasu*, która jego wnioskiem bardzo się zachwyciła. Zapytam tylko: czy nam istotnie „jasno w duszy,“ pomimo roztwierania się „ku temu światłu,“ co itd.? Wątpię. Musiałaby ta dusza być bardzo dziurkowatą, ażeby przez nią przechwiały wszystkie smutki i zostały tylko radości. Przypuszczam, że nie ma tak wielkiej boleści, dla którejby umysł głęboko religijny nie znalazł ulgi w modlitwie, ale na to potrzeba naprzód wierzyć, powtóre ciągle się modlić. Dopóki trwa ekstaza — opromienia ciemności życia, ale gdy ona zgaśnie—mroki występują. Trwać ona zaś ciągle nie może. I te dusze więc, które „roztwierają go ku światłu,“ zamykają się na nie wobec rzeczywistości, tłumiącej uniesienia. Duchowa morfina uspokaja dolegliwości chwilowo, ale ich nie leczy. Powracają one z całą mocą. A cóż mówić o tych, którzy jej nie używają! Tym już nigdy nie jest „w duszy jasno,“ chociażby nie pisali i nie czytali pesymistycznych nowel. Ani te nowele, ani godła Hartmanna i Bismarka — to nie są sztucznie wywoływane upiory, ale od-

bicia rzeczywistości. Z niedorzecznością i niegodziwością zasady teoretycznej możemy sobie poradzić — obalić ją, potępić, zdeptać, wyszydzić, napiętnować, ale nie podołamy sile rzeczy, koniecznościom praktycznym — nawet pod przewodnictwem p. Czesława Pieniążka. Po co więc usypianie narodu śpiewką złudzeń? Czy sen taki wzmocni jego siły? Czy mu przygotuje szczęśliwe przebudzenie? Żadne prawo natury nie ustaje, gdy nieszczęśliwy zaśnie przy bajce z tysiąca i jednej nocy. Natura bajek nie słucha, a jeśli słucha, prawidłowości swojej z nich nie czerpie. Trzeba o tem raz na zawsze pamiętać.

Zamiast tarcz nadstawialiśmy nieraz w walkach z losem poduszki wiatrowe. Gdy pod dzisiejszą datą mienią się w sercach naszych barwy dziecinnego optymizmu, widać, żeśmy z niego nieuleczeni i może nawet nieuleczalni. Nie mamy odwagi zadać sobie pytania lub szczerze odpowiedzieć na nie: co my przeciwstawiamy złożonej potędze czynników i dążeń nam nieprzyjaznych? Bardzo mało — taką drobinę, że ona wcale dostatecznej przeciwwagi nie stanowi. Tradycyjny lazzaronizm nie opuścił nas dotąd. Zdaje nam się, że pięć głów sądzących w cukierni lub piwiarni Bismarka, rozwijających i zwijających plotki, przesypujących jak klepsydry piasek z jednej w drugą—to coś! Jesteśmy narodem, względnie do uzdolnień i możności, za mało produkcyjnym, za leniwym. Podczas gdy dla dźwignięcia ciężarów życia powinnibyśmy pracować więcej, niż społeczeństwa bogatsze, szczęśliwsze, w istnieniu swojem ubezpieczone, pracujemy daleko mniej. Pod tym względem nie wytrzymujemy żadnego porównania z przeciętnym niemcem lub francuzem. Ci — to woły robocze, my — to wychudzone cugowce, które w zaprzęgu wierzgają. A nietylko dorobkiem, ale i bracią naszą jest tylko to, co zapracujemy. Tylko to...

Zwolennikom młynów dyabelskich w prasie zapowiedziano nowe widowisko. Wyrok konkursu dramatycznego — jak uznaje samo jego sprawozdanie — wywołał w „publiczności reakcyę,“ którą reporterya dziennikarska „zaostrzyła nietaktownemi wystąpieniami.“ Rozczarowanie pomieszało się z pretensyą. „Przypuściwszy — pisze jeden z sędziów — że w konkursie Bogusławskiego siedemnastu nagrodzonych i odznaczonych przyjęło rezultat tego turnieju bez żadnych w duszy zastrzeżeń, pozostaje zawsze czterdziestu siedmiu niezadowolonych, do których dodawszy przynajmniej po jednym, niezbędnym dla każdego, z sędziów konkursowych (obliczenie nad wyraz skromne), mamy już piędziesięciu sześciu gotowych *protestantów*.“ Na podstawie tego rachunku autor oblicza, że „reakcya może się swobodnie rozpościerać w 56 kierunkach.“ Jesteśmy szczęśliwi, że w żadnym z tych „56 kierunków nie mamy swego interesu, “bo gdyby plon konkursu ukaże się na publicznym rynku, musielibyśmy przypatrywać mu się niemi. W obecnem położeniu będziemy mogli nietylko sądzić nagrodzone utwory swobodnie, ale nawet o „nietaktownych wystąpiach reporteryi dziennikarskiej“ i o wywołanej przez nią „reakcyi,“ którą wywróżyliśmy. Przepowiedzieliśmy, że reklama poszła za daleko i że jej koszta zapłacą najniewinniejsi w całej sprawie laureaci — ofiary niedźwiedziej usługi. Tak bywa u nas zawsze: naprzód idzie orkiestra chwalb, grzmiąca marsz tryumfalny, a gdy za nią ukaże się bohater średniej miary, zawiedziona publiczność wybucha głośnym śmiechem — na który on nie zasłużył.

* *
*

P. Spasowicz, uśmiechnąwszy się z „hałasu o nic,“ wywołanego procesem p. Zapolskiej, uznał za stosowne wrzawę tę powiększyć w Kraju. Nie mogę lepiej wywdzięczyć się szan. prawnikowi, jak spełniając za niego powinność, którą on w sobie przeoczył, mianowicie nie podejmując sporu *de lana caprina*. Jeżeli przytem rola jednostronnego adwokata podobała się p. Spasowiczowi i w tej sprawie, nie będą go wysykiwał, choć klaskać nie mogę. Dziwię się tylko, że ją odegrał, mianowicie dziwię się, że stwierdziwszy małą wartość utworów p. Zapolskiej, przyznawszy p. Popławskiemu słuszność w wie lu uwagach i niesłuszność „złemu duchowi,“ który ją do procesu namówił — nie umiał utrzymać się do końca na stanowisku bezstronnem — mundur sędziego zamienił na frak adwokata i wezwał przytem, jako biegłą do ocenienia polemiki, „przekupkę.“ Wydobycie na wierzch nici osobistych w napaści, gęsto niemi przetkanej i bez uwydatnienia ich niezrozumiałej, uważa on za wykroczenie publicystyczne, a ton odporu za zbyt ostry; natomiast, chociaż jako badacz zagadnień i miar etycznych, zna dobrze różnicę ciężaru obwinień, nie ma ani słowa nagany dla krzywdzących słów i półsłówek. Na szali jego sądu niegodnym uwagi pyłkiem są bezzasadne i wrzecionem domyślności do dalszego przędzenia pozostawione oskarżenia o „występek,“ o „różne winy,“ o „wszystkie grzechy podwójnej buchhalteryi“ moralnej, ale za to nazwa „Meletusa“ wydaje mu się taką obrazą, że aż ją wnosi przed trybunał historyi. I my powtórzymy: *noblesse oblige* — powagą pisarską nie należy podsycać „hałasu o nic,“ ani ośmielać maskarady intryg osobistych w prasie. Sprawiedliwość w rozpoznaniu sporów nie zamyka jednego oka, a drugiego nie zaostrza szkłem powiększającem, lecz otwiera oba. P. Spasowicz nie nauczył nas a zawiódł, zawiódł nawet ludzi stojących po za polem walki, którzy spodziewać się mogli od niego tylko głosu, nietworzącego z poważnym tonem krytyki ostrego rozdźwięku. Nasza obrona była „łajaniem,“ a czem że było oskarżenie? Czy istotnie wywodem spokojnym, przedmiotowym, uczciwym?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Bal z kłopotami. — Naiwni goście. — Biedny kwestonaryusz. — Odpowiedź *Gazecie rolniczej*.

Łuna pożarów odbiła się na tylu punktach widnokręgu, że policzyć je nawet byłoby trudno. Płoną miasteczka i wsie, dzień każdy niemal przynosi kilka tego rodzaju wiadomości, tak, że *Kuryery* nie mają czasu wymyślać sensacyjnych dodatków i opowiadają starą bajkę o parze gołębi, która długo krążyła nad płonącym domem i wreszcie dobrowolnie rzuciła się w płomienie, lub o trupie, którego wynieść z izby nie zdążono i który spalił się na popiół.

Tymczasem w Siedlcach ludzie bawią się, naturalnie, na korzyść nędzy. W mieście tem, jak pisze korespondent *Gazety warszawskiej*, urządzono wielki bal, ponieważ jednak miejscowa inteligencya jest nieliczną, bilety w ilości 2,000, po 3 ruble dla osób familijnych i po rublu dla pojedynczych, rozesłano wraz z odpowiednią liczbą listów zapraszających, naczelnikom powiatów. Ci ostatni listy i bilety rozesłali znowu obywatelom ziemskim, a gdy tych zabrakło—księżom, oficyalistom prywatnym, wójtom i pisarzom gminnym, propinatorom i nawet zamożniejszym kupcom izraelitom. Większość tej kategoryi zaproszonych, nieznająca się na formach grzeczności, sądziła, że nietylko idzie o zapłacenie ceny biletu, ale że i oni sami „wezwani“ są na bal. Chrześcianie posprawiali sobie surduty z cienkiego sukna, izraelici zaś atłasowe kapoty. Kiedy ta masa gości na kilka dni przed balem zjechała do Siedlec, gospodarze zabawy przestraszyli się i polecili rozlepić na rogach ulic drukowane ogłoszenia, że kto chce być na balu, musi być ubrany we frak i biały krawat. Ponieważ ogłoszeń tych nie wszyscy posiadacze biletów mogli zrozumieć lub przeczytać, przy wejściu do sali postawiono straż, która nie wpuszczała niewłaściwie ubranych. Z powodu tego wynikły rozmaite nieporozumienia, w rezultacie jednak „klasa niższa“ przekonała się, że niedorosła jeszcze do równouprawnienia w zabawie, natomiast dosyć już jest dojrzałą do płacenia na równi z „klasami wyższemi.“ Szczęśliwie uwolnione od zetknięcia z hołotą towarzystwo bawiło się wesoło — „jedwabie, koronki, strusie pióra i drogie kamienie, uzupełniając się wzajemnie, sprawiały piękny widok,“ tem piękniejszy jeszcze, że kosztowności te ubierały żony urzędników, bo obywateli nie było prawie wcale. Naturalnie, że na takim dystyngowanym balu, tańcami ktoś „dyrygował umiejętnie po francusku,“ hołota zaś wracała tymczasem do domów, licząc wydatki na podróż i zastanawiając się nad dziwnym biegiem spraw ludzkich.

Historya balu w Siedlcach pozwala mi uwydatnić jedno, dawno już zresztą uczynione spostrzeżenie. Wezwanie do zabawy sprowadza wszystkich prawie zaproszonych. Na bal spieszą chętnie i ubodzy oficyaliści, i oszczędni pisarze gminni, i nawet więcej niż oszczędni izraelici w atłasowych kapotach; spieszą z zapadłych kątów, po sławnych podlaskich drogach, wydają względnie spore sumy, dlatego jedynie, żeby się zabawić. Dźwięki orkiestry balowej, to jedyne hasło, które może nas poruszyć, zespolić, nawet skłonić do ofiar. Ci sami ludzie i nietylko ci sami, ale i wyżej od nich wykształceni i zamożniejsi nie poświęcą setnej części dobrych chęci, trudów i kosztów na wypełnienie jakiejkolwiek roboty, która przynosi ogólny pożytek. Czytajmy sprawozdanie łódzkiego oddziału Towarzystwa zachęty przemysłu i handlu. Istnieje w niem osobna sekcya przemysłowo-rolna, która kilka razy do roku odbywa posiedzenia. Sekcya taka w pewnej mierze zastąpić by mogła towarzystwa rolnicze, na brak których powszechnie uskarżają się ziemianie. Tymczasem w liczbie członków znajdujemy bardzo niewielu obywateli wiejskich, ci zaś, którzy się zapisali, nie robią nic zgoła. Jeżeli kto np., to sekcya przemysłowo-rolna odpowiedzieć była powinna na kwestonaryusz warszawski, noszący jednobrzmiące miano. Szanowni członkowie przez czas długi zabierali się do roboty i odkładali ją ciągle, wreszcie na zebraniu styczniowem r. b. zawstydzili się swego lenistwa i jednomyślnie postanowili: ażeby wszyscy bez wyjątku odpowiedzieli na kwestyonaryusz w ciągu trzech miesięcy. Było to nieco spóźnione postanowienie, bo nadesłane poprzednio odpowiedzi drukowały się już w Warszawie, w każdym razie jednak zebrany materyał można było przesłać delegacyi rolnej. Po upływie trzech miesięcy członkowie zebrali się znowu i okazało się, że żaden odpowiedzi nie napisał. Nie poruszam tu pytania: czy kwestyonaryusz ułożony był właściwie i czy zebrane materyały mają jaką taką wartość, o tem bowiem należało mówić przynajmniej przed trzema miesiącami, spóźniona nagana nie usprawiedliwia bynajmniej lenistwa i świadczy tylko o lekkomyślności członków, którzy obowiązywali się podjąć robotę, nie wiedząc, czy zda się ona na co.

Temu samemu losowi uległ kwestyonaryusz w sprawie przemysłu drobnego, tylko że ten ostatni już bez żadnych rozpraw otwarcie złożono do akt.

Wogóle cała działalność sekcyi przemysłowo-rolnej odznacza się dziwnem niedbalstwem. Ostatnie zebranie np. oznaczo-

no na „godziny południowe,“ nie określając dokładniej czasu, kiedy zaś nareszcie członkowie zgromadzili się, nie można było znaleźć klucza od sali i upłynęło cztery godziny, zanim go odszukano. Żadnemu z cierpliwych członków nie przyszło widocznie na myśl, że można zawołać ślusarza i kazać mu otworzyć zamek. Nic dziwnego, że ludzie, którzy mogą spokojnie czekać cztery godziny przed zamkniętemi drzwiami, nie spieszą się z opracowaniem odpowiedzi.

Już to kwestyonaryusze nie mają u nas szczęścia. Nie jest to zapewne najlepsza forma badania stosunków społecznych, ale w danych okolicznościach jedynie możliwa. Pewien procent winy złożyć należy na wadliwość formy, ale sądzę, że nawet w najlepszych warunkach trudno liczyć na chętny współudział, zwłaszcza tej klasy, do której przeważnie teraz rozsyłają się zapytania. *Gazeta radomska* skarży się również, że na kwestyonaryusz wydrukowany w tem piśmie przed dwoma miesiącami, odpowiedziało tylko dwóch prenumeratorów, a i z tych jeden jest stałym współpracownikiem *Gazety*, chociaż zebranie materyału i ułożenie odpowiedzi wymagało zaledwie kilku godzin czasu.

Kiedym już zawadził o kwestyonaryusze, nie mogę objechać *Gazety rolniczej* i muszę pomówić z kronikarzem tego pisma. Odpowiem mu kategorycznie w porządku zarzutów.

1) Nie mieszałem wcale szachownic ze służebnościami, ale nie moja wina, że w sprawozdaniu organu urzędowego połączono w jedną cyfrę umowy o ich zniesienie. Ponieważ zaś szachownice w wielu bardzo majątkach nie istniały, służebności zaś ciążyły na wszystkich prawie, mam zasadę mniemać, że z 709 umów większość dotyczyła serwitutów. Nie jest to może argument stanowczy, ale w szeregu innych dostatecznie przekonywający.

2) „O tem czy w większości kraju zniesiono lub niesłużebności, mogą rozstrzygać tylko cyfry morgów ziemi uwolnionej od nich a nigdy liczba majątków“ — woła *Gazeta rolnicza*. Wiem o tem, ale wyraźnie mówiłem o większości majątków. Zaznaczam to powtórnie, nie dla wymijania zarzutu, ale z tej racyi, że, jak mówiąc o potrzebach kraju, mam zawsze na myśli potrzeby większości jego mieszkańców, tak również interesy pewnej warstwy społecznej uważam za równoznaczne z interesami większości jej przedstawicieli. Najtrudniej uregulować służebności w wielkich *latifundiach*, uważne rozejrzenie się w cyfrach przekonać może o tem szanownego kronikarza. Oto np. w gubernii lubelskiej zawarto dotychczas najmniej układów o zniesienie służebności, ale przy porównaniu cyfr, odnoszących się do różnych powiatów zauważyć łatwo, że sprawa regulacyi szła najoporniej w powiatach janowskim, zamojskim, biłgorajskim i krasnostawskim, w których właśnie znaczną część przestrzeni zajmują dobra ordynacyi Zamojskich. W innych powiatach większość osad włościańskich zrzekła się służebności, z wyjątkiem powiatu chełmskiego, w którym również znajdują się przeważnie większe majątki.

3) Cyfry z r. 1880, świadczące, że w tym czasie zwolnione zostało od służebności 31% przestrzeni, nie przekonywają mnie wcale; od tej pory upłynęło już lat 5 i 4 miesiące, nie mogę zaś zgodzić się na twierdzenie, że dobrowolne układy idą coraz oporniej, przeczą temu bowiem przytoczone w *Gazecie* cyfry. Przyznaję zresztą, że zdanie to od biedy zastosować można do dwóch ostatnich lat, chociaż nie w takiej kategorycznej formie, że „układy nie idą prawie wcale,“ gdyż w pismach codziennych z ostatniego tygodnia znalazłem wiadomość o dobrowolnej umowie z włościanami w dobrach Sonicze (4 wsie) Garbatka, Wolica i Męczyn, o wielu zaś nie piszą przecie wcale. W 1881 i 1882 r. zaś układy o uregulowanie służebności zdarzały się bardzo często. Że sprawa ta nie idzie tak opornie, jak się wydaje *Gazecie rolniczej*, postaram się przekonać ją własnemi cyframi. W gubernii lubelskiej do 1881 r. zwolniono od służebności 17% przestrzeni. Cóż widzimy po upływie 4 lat w 1885 r.? Cyfr dotyczących zwolnionej przestrzeni nie mamy, ale mamy cyfry osad, które zrzekły się służebności. Pomimo pewnych różnic w pojedynczych majątkach, możemy chyba przyznać, że, przeciętnie, cyfry odpowiadają sobie wzajemnie. Otóż w 1885 r. 39% osad zrzekło się służebności, prawdopodobnie więc takiż sam procent przestrzeni większych majątków został od nich zwolniony. Dajmy na to, że różnica wyniesie kilka procent, 5,10 nawet. Przyjmując tę ostatnią cyfrę 29% i przypuściwszy, że tylko w tym stosunku posuwała się sprawa w całym kraju (chociaż w poprzednich latach w innych guberniach regulacya szła pomyślniej), wyliczymy łatwo, że obecnie więcej niżeli połowa przestrzeni większej własności zwolnioną jest od serwitutów. Przypuszczenie to tem zasadniej zrobić możemy, że cyfry dotyczące gub. lubelskiej zebrane były w 1885 r. i że tam sprawa dobrowolnych układów spotyka najwięcej trudności.

4) Czwarty zarzut po prostu mnie ubezwładnia, bo po tylu bezowocnych usiłowaniach straciłem już, doprawdy, nadzieję wyczulenia pojętności kronikarza *Gazety rolniczej*. Spróbuję wszakże raz jeszcze, może mi się uda. Kronikarz wyrywa frazes: „dotyczy to wogóle służebności, zaś serwituty wspólnego pasania rzadko gdzie istnieją“ i woła, że nie rozumie, o co tu chodzi, oraz zarzuca mi niewłaściwe rozróżnianie dwóch jednoznacznych wyrazów. Pozwolę tu sobie zauważyć, że każde zdanie znajduje się w pewnym związku z poprzedniem lub z następnem. Z ustępu przytoczonego w innem miejscu *Gazety* łatwo zrozumieć, o co mi chodzi. Autorowie odpowiedzi twierdzili, że główną przyczyną szkód jest serwitut wspólnego pasania. Na to odpowiadam, że w większości majątków zniesiono już nawet służebności wogóle, serwitut zaś wspólnego pastwiska rzadko gdzie istnieje. Czy to tak trudno zrozumieć przy odrobinie pojętności i dobrej woli? Dlaczego zaś raz mówię służebności, drugi raz serwituty, to o tem uczą prawidła stylistyki, które głoszą, że należy, o ile można, unikać powtarzania w jednem zdaniu lub okresie tego samego wyrazu.

4) Na ostatni zarzut odpowiem krótko, że nie mogę uznać szkodliwości istnienia służebności dla całego kraju, dopóki mi *Gazeta rolnicza* nie dowiedzie, że zniesienie ich leży w interesie chłopów polskich. O „systematycznem napadaniu na ludzi spokojnie pracujących“ wspominać nawet nie warto, bo najprzód jest to fałszem, a powtóre stoimy na tak odmiennych stanowiskach, że nie dojdziemy nigdy do zgody, ani nie przekonamy się wzajemnie, zwłaszcza w krótkich artykułach dziennikarskich. Zaznaczam tu tylko, że nie napadam nigdy na ludzi, którzy, wyznaję to chętnie, „bardzo jeszcze krajowi przydać się mogą,“ ale na tę zasadę społeczną i ekonomiczną, której oni są przedstawicielami.

Polemika zabrała mi zbyt dużo miejsca, muszę więc w kilku słowach tylko wspomnieć o dzielnym obywatelu, należących do liczby tych, na których *Prawda* jakoby systematycznie napada. Jest to pewien ksiądz w Kaliskiem, który w ciągu kilkudziesięciu lat wszelkimi sposobami oddziaływał na swoich parafian, żeby nie sprzedawali ziemi niemcom, od dawniej zaś osiadłych kolonistów grunta wykupił i odprzedał je miejscowym włościanom. Dziś ksiądz ten nie jest już proboszczem, ale parafianie jego dotychczas nie wpuścili na swoją ziemię ani jednego niemca. Może postępek tego księdza nie zgadza się z zasadami katolicyzmu, ale zgadza się za to z zasadami rozumnego patryotyzmu. Ten dzielny proboszcz z pewnością nie grał do późnej nocy w karty i nie zaprzęgał dziadów do sanek, nie zaprowadzał w kościele nabożeństwa „do serca jezusowego,“ dlatego też nie znalazł obrońców i chwalców. On po prostu spełniał tylko obowiązek dobrego obywatela.

J. Nieborski.

CUDZE GŁOSY.

Gazeta warszawska z powodu ostatnich rozruchów ludowych w Galicyi, oskarża bezzasadnie inspektora przemysłowego p. Nawratila za to, że w raporcie swoim przedstawia w ciemnych barwach położenie robotników. Prawdziwość opisanych faktów stwierdzają nawet zachowawcze dzienniki np. *Czas* Tymczasem *Gazeta warszawska* mówi:

„Trzeba bardzo pilnie czuwać nad tem, aby pomiędzy różne warstwy ludności galicyjskiej nie wsunęły się znowu podobne wrogie żywioły, jak te, które w dawniejszych czasach zaostrzały tam antagonizm społeczny. Dzisiejsi naczelnicy okręgowi już tej roli nie odgrywają. Natomiast mogliby się podjąć nowo utworzeni *inspektorowie przemysłowi*, zwłaszcza pod rządem wrogim. Tego obawialiśmy się *a priori*, zupełnie zaś stwierdza nasze obawy i podejrzenia raport inspektora przemysłowego dla Galicyi, Navratila, ogłoszony razem ze sprawozdaniami innych inspektorów przemysłowych.

P. Navratil stosunki fabryczne i przemysłowe w Galicyi wystąwia wświetle nader ciemnem, niejako Hogartowem. Czytając te widocznie przesadzone opisy wymienionego inspektora przemysłowego, trzebaby przypuścić, że nigdzie w świecie robotnicy nie są tak cynicznie wyzyskiwani i nie znajdują się w podobnie opłakanym stanie, jak w Galicyi. Taki osławiony Basly lub Duc-Quercy nie mógłby zręczniej powtarzać socyalistycznych frazesów, jak to czyni w swem urzędowem sprawozdaniu ten p. Navratil. Znaczna też już część prasy niemieckiej pochwyciła ten niby to urzędowy obraz, aby na nowo zohydzić stosunki galicyjskie.

Z raportu p. Navratila łatwo się domyślić, że taki inspektor przemysłowy nic przyczyni się do sprowadzenia harmonii socyalnej, lecz przeciwnie pośrednio lub bezpośrednio będzie podburzał robotnika. Nie wiemy nic o p. Navratilu i nie podejrzywamy go wcale o szkodliwe zamiary; może po prostu z idealnego wspołczucia dla klasy robotniczej tak się uniósł w swych raportach. W każdym razie taki raport może tylko rozdmuchać agitacyę socyalistyczną, a gdyby z ramienia nowego rządu meternichowskiego lub bachowskiego nowy jaki inspektor przemysłowy dla Galicyi podjął się tej pracy dynamitowej systematycznie, z pewnością mógłby narobić wielkiej szkody.

Sprawę tę powinien rozważyć bardzo gruntownie minister do spraw Galicyi.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sądy. Sąd okręgowy lubelski rozpatrywał w pierwszych dniach maja sprawę o zaburzenia uliczne, w m. lutym, o których podaliśmy poprzednio wzmiankę. Na ławie oskarżonych zasiadło 25 osób, w tej liczbie dwie kobiety. Akt oskarżenia głosi: Władze policyjne otrzymały rozkaz wysłania koleją trzech zakonników, dominikanów. Ponieważ jeden z księży chciał uciec, policmajster rozkazał aresztować w celach wszystkich trzech. Wieść o tem rozniosła się szybko po mieście. Wieczorem około klasztoru zebrał się tłum ludzi, którzy odgrażali się policyi. Wtedy policmajster wezwał

na pomoc wojsko. Około godziny 10, księża w towarzystwie strażników wyjechali na kolej, ale tłum rzucił się całą masą, zatrzymał sanki i począł bić wojsko i policyę kamieniami i odłamami lodu. Widząc niepodobieństwo wyjazdu, policmajster wrócił z księżmi do klasztoru, wojsko zaś zaczęło rozpędzać zgromadzonych na ulicy. Zamiar ten nie udał się, chociaż z rozkazu oficera żołnierze wystrzelili na postrach w powietrze. O godzinie 11 przybyła znowu rota wojska, którą przyjęto kamieniami, a o 12 jeszcze dwie roty i wtedy dopiero udało się rozpędzić tłum. Podczas zamieszki z okien sąsiednich domów dały się słyszeć wystrzały. Wszyscy żandarmi i policyanci, oraz wielu żołnierzy odnieśli uszkodzenia, cięźej rannych było sześciu ludzi. Z liczby 71 aresztowanych 25 oddano pod sąd za zbrojny, połączony z przemocą opór władzy policyjnej i wojskowej.

Po wysłuchaniu zeznań 140 świadków sąd wydał wyrok, którym skazał 13 oskarżonych na oddanie do rot aresztanckich, na zamknięcie w więzieniu na czas od 1 roku lub areszt, pozostałych zaś od odpowiedzialności uwolnił.

Zakaz. Uczniom szkół średnich ma być zabronione noszenie kaloszy, chustek na szyję i parasolów.

Uprzejmość niemiecka. Zarządy miejsc kąpielowych w Niemczech rozsyłają uprzejme zaproszenia, głoszące, że „szanowni goście z Król. Polskiego mogą bez żadnej obawy kąpiele ich zwiedzać, wieść bowiem, że będą narażeni na różne nieprzyjemności, nie ma żadnej podstawy.“

Prasa polska. Zamiast *Inżynieryi i budownictwa* wychodzić będzie pismo p. t.: *Przemysłowiec* pod redakcyą p. J. Łubieńskiego. Jeden z wydawców warszawskich otrzymał pozwolenie na wydawanie codziennego pisma humorystycznego.

Bibliografia. A. Fuks i B. Kniehonięcki. *Woda łódzka pod względem sanitarnym.* Łódź.

— T. C. Łukawski. *Zemsta Ostapa.* Warszawa.

— T. C. Łukawski. *Nieszczęsna dola.* Warszawa.

Przekład. *Zaria*, która bardzo często pomieszcza przekłady z polskiego, wydrukowała obecnie tłomaczenie *Dwugłosu miłości* W. Okońskiego.

Konkurs. Rada Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu przyznała dwie nagrody po 1500 fr. pp.: Tadeuszowi Korzonowi i Ludwikowi Kubali za dzieła ich p. t.: *Wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta* i *Jerzy Ossoliński.* Na nowy konkurs w r. 1888 ogłoszono temat: „Opracowanie monograficzne dowolnie obranego przedmiotu z zakresu historyi stosunku politycznego między Litwą a Polską od 1386 do roku 1569.“

Wystawa. W Wiedniu urządzona będzie międzynarodowa wystawa szkiców i obrazów na korzyść pogorzelców Stryja.

Zaburzenia antisemickie wybuchły podczas świąt wielkanocnych w Odesie i Sewastopolu, nie przyjęły jednak większych rozmiarów. Sprawcy rozruchów zostali już ukarani sądownie.

Zmarli. Filip Zabawski, zasłużony pedagog, b. rektor szkół pułtuskich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Stałemu czyt. Prawdy. 1) Nie pozwolono, 2) Raczyński — wartość niewielka.

P. J. Sien. Żadna solidarność do stosunków i spraw prywatnych sięgać nie może. Ustępujemy 25%

P. Ig. Lip. Niewątpliwie — gdyby każdy z widzów komedyi był rozumnym.

Prenumeratorom w Kijowie. Istniał — dziś pozostał tylko w złożonych.

H. M. Z. Szkoda, że myśl wiersza nie jest bardziej rozwinięta — miałby on wartość.

P. Jul. D. Szkic zbyt pobieżny i powszedni.

L. z S. Wysłaliśmy list objaśniający.

P. Ant. M. w Krakowie. Był tłomaczony i drukowany.

Zlot. Są to synonimy o bardzo delikatnych odcieniach, lepiej wszakże: gospodarstwo *rolne*, towarzystwo *rolnicze*, wyrok *prawny*, wiedza *prawnicza*. Praktyka nie przestrzega tych różnic, jednoznacznie również używa *celny* i *cłowy*.

X. X. Psycholog — adresu nie znamy. O Niemajerach niech Pan zapyta w księgarniach.

OFIARY.

Dla studentów uniwersytetu warszawskiego. Henryk K. z Miechowa 6 rs.

Dla studentek polek w Petersburgu. Maurycy B. 1 rs.

Na wsparcie podupadłych farmaceutów. Skowroński z Bolesławca rs. 1,50

Na kasę imienia Mianowskiego. Henryk K. z Miechowa 6 rs.

Do rozporządzenia redakcyi. Od U. D. N. 20 rs.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Мая 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.